



TOM III.

PRENUMERATA we LWOWIE
We wszystkich księgarniach, po cenie: rocznie 14 zlr. półrocznie 7 zlr.
kwartalnie 3 zlr. 50 cnt.

PRENUMERATA na PROWINCJI:
We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: rocznie 17 zlr.
60 cnt. półrocznie 8 zlr. 80 cnt. kwartalnie 4 zlr. 40 cnt.
W KRAKOWIE główny skład w księgarni D. E. Friedleina.

Wydawca i redaktor A. J. O. ROGOSZ.

Biuro Administracji i Redakcji:

Ulica Halieka 1. 52.

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni
J. K. Żupańskiego w POZNANIU.

PRENUMERATA w POZNANIU:
Rocznie 28 m. półrocznie 14 m. kwartalnie 7 m.

NA PROWINCJI:
Rocznie 34 m. półrocznie 17 m. kwartalnie 8 m. 50 f.

LUŻNE UWAGI.

XX.

POTRZEBIE KONKURSU DRAMATYCZNEGO
WE LWOWIE.

Nasza literatura dramatyczna, jakkolwiek może wykazać kilka dzieł pierwszorzędnej piękności, co do ilości jest bardzo ubogą. Przyczyną tego jest po pierwsze nie wielka ilość stałych teatrów narodowych (jest obecnie cztery), a powtórę wpływająca ztąd niepopłatność utworów dramatycznych. Minęły już te czasy, w których autor był zadowolony, jeżeli nie musiał sam zapłacić za wydrukowanie dzieła, lub gdy sztukę jego przedstawiono na scenie; dzisiaj każdy za swą pracę pragnie mieć zapłatę. I słusznie; rzemieślnik za swój wyrób, malarz lub rzeźbiarz za obraz lub posąg otrzymują należną nagrodę; doszliśmy już do tego, że historyk, powieściopisarz, poeta, sprzedają wcale przyzwoicie swoje plody duchowe, jeden tylko pisarz dramatyczny u nas, choćby arcydzieło napisał, za przedstawienie jego mniej dostanie, niż żeby natchnienie i pracę poświęcił na ułożenie nowego persko-egipskiego sennika. A przecież dramat powinien być najbardziej popłatny, bo naraz tysiące słuchaczy uczy i podnosi moralnie. I jakże się tu dziwić, że u nas literatura dramatyczna nie prosperuje? Niech co chcą mówią, materjalna korzyść jest jedną z najglówniejszych dźwigni czynności duchowych! We Francji jeżeli kto dobrą sztukę napisze, może być pewnym, że tantjemy wynagrodzą mu pracę sownie (o ile pieniądze nagrodzić mogą pracę duchową) to też poezja dramatyczna tam kwitnie, a konkurencja wyprowadza na jaw coraz to nowe siły — u nas taki Sardou lub Augier, jeżeliby nie zajmował się niczem innem, tylko pisaniem dzieł scenicznych, byłby skazanym na nędzę. Zaradzić temu smutnemu stanowi rzeczy, radykalnie nie podobna: wtedy bowiem tylko nasza literatura dramatyczna w pełni się rozwinie, gdy większa ilość stałych teatrów wywoła odpowiednią konkurencję, a to nastąpi, gdy się podniosą miasta nasze pod względem ilości mieszkańców, inteligencji i dobrobytu.

T. III. N. 21.

Teatr jest zabawą ludności miejskiej: gdzie ta pod względem ilości inteligencji nisko stoi, tam o rychłym rozwoju literatury dramatycznej mowy być nie może. Kraj nasz jest tego najlepszym dowodem.

Jakkolwiek jednak nie jest w naszej sile zapewnić obecnie literaturze dramatycznej możności takiego rozwoju, jak w innych krajach, obfitych w wielkie miasta i liczną inteligentną klasę średnią, potrzeba w danych warunkach czynić to, co się da, ażeby choć jako tako przyczynić się do prosperowania tej gałęzi literatury. Gdzie nie istnieje konkurencja naturalna, tam należy stworzyć sztuczną; gdzie autorowie dramatyczni nie mają przez tantjemy zapewnionej sownej nagrody za swe dzieło, i za poświęcenie swego talentu i pracy dla ogółu nie zyskują nic więcej oprócz chwilowego, próżnego rozgłosu, tam trzeba postarać się o to, ażeby przynajmniej najcelniejsi z nich mieli choć w części umożliwioną dalszą pracę i w nagrodach znachodzili do niej zachętę. Jednym słowem: u nas tylko liczne konkursy wyposażone w odpowiednie sumy mogą zachęcić pisarzy do pracowania na polu dramatycznym.

Coroczne konkursy dramatyczne w Krakowie, na które autorowie licznie prace nadsyłali, wydobyły na jaw kilka niepoślednich talentów i wzbogaciły repertuar narodowy kilkoma cennymi dziełami. Obecnie ogłoszono w Warszawie konkurs, który nie długo ma być rozstrzygnięty. Oba te jednak konkursy, jakkolwiek są pożyteczne, nie wystarczają i nie spełniają, i nie mogą spełniać swego zadania w sposób bezwzględnie dobry. A to z następujących powodów: komisja konkursowa krakowska składa się przeważnie z żywiołów ultramontańskich, którym interes stronictwa, jakkolwiek źle zrozumiany, nie pozwala osądzać dzieła sztuki bezwzględnie, tj. bez uwagi na tendencję i osobistość autora, (faktem jest, że mimo rzekomej tajemnicy w komisji, wiedzą bardzo dobrze, kto jest autorem tej lub owej konkursowej sztuki.) Najlepsza nawet sztuka, jeżeli ma wybitną postępową tendencję, lub autor jej nie jest klientem wszech-

władnego w Krakowie zakonu Lojoli, zostanie odsunięta od nagrody. Dowodzić tego nie potrzeba: postępowanie komisji z dramataми pana Okońskiego jest jaskrawą ilustracją sumiennosci i bezstronności krakowskich Arystarchów. W Warszawie przepisy cenzuralne tak krępują konkursową komisję, że gdyby żył Szyler, był Polakiem i posłał na konkurs np. „Fiesca“ lub „Wilhelma Tella“ komisja nie mogłaby mu przyznać nagrody. Jeżeli tylko treść do sztuki wzięta jest z historii polskiej, lub znajdują się w niej gorętsze ustępy o miłości ojczyzny, wolności, słowem o czemkolwiek, co carom nie jest przyjemne, sztuka taka w Warszawie nagrody otrzymać nie może i nie otrzyma. Nie przeczymy, że mimo tych wad konkursy krakowski i warszawski nie są i nie będą bezowocnymi, w każdym jednak razie sztuka polska zyskałaby, gdyby ogłoszono konkurs w mieście nie krępowanem cenzurą i wolnem od ultramontańskiego ucisku. Miastem takim jest Lwów. Mamy prawie pewność, że we Lwowie można złożyć komisję z ludzi zdolnych, krajmilujących i bezstronnych, która da nagrodę sztuce najlepszej pod względem artystycznym, bez względu na jej tendencję (chyba gdyby ta była antinarodową.) Sądzymy, że po tem co powiedzieliśmy, każdy z czytelników przyzna, że ogłoszenie konkursu dramatycznego we Lwowie byłoby rzeczą bardzo pożyteczną. Ale na konkurs koniecznie trzeba mieć pieniądze, kto je ma dać? to najważniejsze pytanie. Konkurs będzie dobrze wyposażony, jeżeli będzie mieć dwie nagrody np. 600 zlr. i 400 zlr. a więc łączną sumę 1.000 zlr. Konkurs powinna ogłosić dyrekcja teatru, poświęcając jedno przedstawienie na ten cel. Przedstawienie takie nawet przy podwyższonych cenach zapelni salę teatralną i w każdym razie przyniesie czystego dochodu przeszło 500 zlr. Kwotę paruset reńskich może i powinna na ten cel ofiarować Rada miasta Lwowa, która niczem nie przyczynia się do podniesienia teatru, jakkolwiek teatr jest najpiękniejszą ozdobą miasta. Brakującą zaś kwotę pokryją w zupełności składki prywatne, skoro się zawezwie do nich miłośników sztuki. Spodziewamy

48

się, że dyrekcja teatru, która ma być inicjatorką tego przedsięwzięcia, uwzględni tę naszą propozycję tem bardziej, że ogłoszenie takiego konkursu i poświęcenie jednego wieczoru na fundusz konkursowy sownie jej się opłaci. Dwie sztuki, które uzyskają nagrody, kilkakrotnie zapełnią teatr, a z gorszych zawsze będzie można wybrać do przedstawienia kilka, które zasila ubogi nasz w sztuki narodowe repertuar. W ten sposób, co dyrekcja straci przez poświęcenie jednego wieczoru, to odbierze z nawiązką z przedstawień sztuk nagrodzonych i polecanych do grania, żywsze więc materialnie i będzie miała moralne zadowolenie, że uczyniła co mogła dla rozwoju polskiej sztuki dramatycznej. Kończąc tych kilka wierszy, które podyktowała nam miłość sztuki narodowej, żywimy nadzieję, że prasa myśl naszą poprze, a tem samem przyczyni się do jej urzeczywistnienia.

CHRZEST POLSKI.

Powieść ze zdarzeń ostatnich, w trzech częściach
przez

J. Dzierzkowskiego i Wł. Sabowskiego.

(Ciąg dalszy).

CZĘŚĆ TRZECIA.

Emigrant i wygnaniec.

VI.

Horodniczy był także człowiekiem ludzkim i szczerze się wiaomością o spodziewanym niezwłocznym uwolnieniu rotmistrza ucieszył, a zamierzone przez wnuczkę środki ostrożności powagą swoją aprobował.

Konstancja miała jednak zamiar uzyskać tu coś więcej niż u doktora.

— Wszak dziadkowi mojemu — zapytała — ani krokiem za obręb miasta wydać się nie wolno?...

— Niestety, pani, takie wyraźne polecenie.

— Otóż ja chciałam prosić pana naczelnika o drobne, bardzo drobne przekroczenie tego polecenia...

— Ah! pani, — przeląkł się horodniczy — to pod żadnym pozorem nie może być!...

— Dlaczego nie? — odparła niezrażona odmową Konstancja — wszakże panu horodniczemu kazano mieć mego dziadka ciągle na oku?...

— Tak właśnie kazano...

— No, a gdyby pan horodniczy potrzebował lub sam chciał przejechać się gdzie za miasto, w takim razie mój dziadek jużby nie był pod okiem pana...

— To się rozumie... ale ja też z tego powodu od czasu jak on tu bawi nigdzie nie wyjeżdżałem z miasta...

— A! tego już nie pojmuję! — roześmiała się Konstancja — pocóż zadawać taki przymus sobie i dziadkowi mojemu?...

— Więc jakże zrobić?

— Można było w najgorszym razie zabrać rotmistrza z sobą... z pod oka pańskiego nie uciekłyby z pewnością osiemdziesięcioletni starzec...

— No to rzecz niezawodna... ale toby mogło być nieprzyjemne panu rotmistrzowi.

— Gdzież znowu! — uśmiechnęła się

Konstancja, — byłoby to dla niego największą rozrywką, a jak pan doktor może poświadczyć, byłoby to nawet pożądanem dla jego zdrowia...

— Szkoda, że mnie to na myśl nie przyszło...

— Nie ma takiego złego, któregoby naprawić nie można. Zapraszam pana naczelnika i pana doktora na podobną wycieczkę jutro. Przejedziemy się razem w czworo...

Horodniczy się zadumał, jakieś podejrzenie rodziło się w jego myśli.

— Co pani tak zależy na tem — zapytał — żeby dziadek mógł się wydaleć z miasta jeszcze przed nadejściem pozwolenia, skoro pozwolenie ma nadejść za kilka dni?

— A jakiś pan podejrzliwy! — zawołała wesoło żona Stanisława — naturalnie ułożyliśmy z panem doktorem, że pana zabijemy w drodze, a dziadka mego wykradniemy, na przyście pozwolenia nie czekając. Bo mój dziadek przecież straszny polityczny przestępca, zapadło na niego dziesięć wyroków, z których najłagodniejszy na karę śmierci... Nieprawdaż?... A przytem jest to człowiek młody, zdrowy, silny, gotówby jeszcze stanąć na czele powstańców!... Okropność!... I w końcu jest to człowiek złośliwy, straszny, niewdzięczny!... Za łagodne obejście, za uprzejmość pana horodniczego, chciałby panu biedy napędzić, chciałby pana narazić na utratę służby, na odpowiedzialność kryminalną, Sybir, ciężkie roboty i tam dalej!..

Mówiła szybko i z zapalem ale swobodnie i śmiało. Podejrzenia czynownika rozpraszały się powoli.

— No, no — odpowiedział — tak złe znów nie jest. Ja wiem że dziadka pani nie skazano żadnym wyrokiem, tylko w drodze administracyjnej wywieziono, wiem że do powstania nie pójdzie, wiem że biedy mnie nie życzy, i wiem że to nie taka straszna ucieczka więźnia. Gdyby uciekł, byłoby śledztwo, wygawor, to rzecz naturalna, ale dałoby się temu i owemu łapówkę i skończyłoby się na trzystu rublach, reszta zatarłaby się jakoś... A w końcu pocóż miałyby uciekać? Uwolniony wkrótce będzie, nasze gazety piszą, że powstanie już jest na uśmiech, a jak będzie uśmierzone, to car jest dobry, da amnestję, najpierw takim nieszkodliwym jak on... pani powiadasz że już nawet dał amnestję... tem lepiej... a choćby i tak nie było, to czyż my tu wszyscy nieba przychylić nie radzi, czyż mu tu między nami tak źle?...

Gdyby był horodniczy śledził uważniej wrażenia, jakie na Konstancji robiła jego przemowa, byłby dostrzegł niezawodnie przyzmiankę o trzystu rublach, że jej oko niezwykłym zapaliło się ogniem i że się uniosła na krzesło, jakby się nagle lżejszą uczuła. Słowa te były dla niej rozgrzeszeniem z jedynego skrupułu, jaki jej się nasuwał przy wykonaniu zawierzonego wykradzenia rotmistrza. Uprowadzić go, było to narazić uczciwego człowieka, którego dozorowi był powierzony, na najprzykreszejsze w jej wyobrażeniu następstwa. Możemy prawie zaręczyć, że nie byłaby się cofnęła przed tym skrupulem, tłumaczyła ją w tym względzie miłość dla dziadka i dla męża, pod wpływem której to postanowienie powzięła, tłu-

maczyła ją także natura ludzka, skutkiem której żaden jeszcze więzień od czasu jak istnieją więzienia, mając sposobność do ucieczki, nie zaniedbał jej dla tego żeby swoich strażników nie narażać na odpowiedzialność. Bądź co bądź jednak bolało ją, że okoliczności ją zmuszały narażać na przykrość tego człowieka, który właśnie jej ukochanemu dziadkowi o ile było w jego mocy przykrości oszczędzał i smutne położenie osładzał, bolało ją tembardziej, że o następstwach jakie ucieczka rotmistrza mogła spowodować na horodniczego, miała bardzo przesadzone wyobrażenie. Tymczasem ten sam horodniczy redukował te następstwa do rozmiarów bagatelnych, oznaczał cenę, i gdyby nie to że to co mówił, mówił dobrodusznie i nawiasowo, że fizjognomja jego nie zdradzała czynowniczej chytryści, można byłoby go posądzić, że się przymawia o niewielką stosunkowo łapówkę.

— Trzysta rubli — pomyślała Konstancja, — i ja się kłopotalam o niego!... Ależ ten człowiek jak dostanie tysiąc będzie błogosławił chwilę ucieczki mego dziadka!

Zbytecznym byłoby dodawać, że pozwolenie wyjeżdżania za miasto udzielonem zostało rotmistrzowi, i że na pierwszy raz horodniczy z doktorem zgodzili się chętnie w takiej wycieczce zesłańcowi i jego wnucze towarzyszyć.

VII.

Co się dalej stało w miasteczku, do którego zesłany był rotmistrz, tego nie trudno się domyśleć.

Wycieczka za miasto odbyła się nazajutrz i nazajutrz także wyszukano tarantasu, którym miał odjechać rotmistrz gdy pozwolenie wyjazdu nadejdzie. Konie zostały zamówione, tarantas spakowany stał gotowy do drogi i wszyscy wiedzieli o jego przeznaczeniu oprócz rotmistrza. Najpewniejszym tego że ów tarantas widział, był horodniczy, mógł bowiem obserwować z okien swoich że więzień jego jeszcze nie odjechał, że powóz jeszcze na niego czeka.

Ale pozwolenie nie przechodziło, ani nazajutrz, ani następnego dnia.

Tymczasem rotmistrz z wnuczką odbyli powtórną wycieczkę za miasto. Tym razem horodniczy i doktor nie mogli im towarzyszyć, wzięli więc z sobą tylko gospodynię u której mieszkał dziadek Konstancji.

Wycieczka ta trwała trochę zadługo i nieco zaniepokoiła horodniczego. Ciemny już był wieczór, nie powracali. Naczelnik miasta posyłał dowiadywać się kilkakrotnie, dom był zamknięty. Usiadł więc w oknie i patrzył, czy nie powrócą. Wieczorem dojrzał tę samą kolaskę, którą wyjechali, i policzył mimo ciemności że oprócz woźnicy siedział w niej sędziwy starzec i dwie kobiety.

Uspokoilo go to na chwilę, poszedł spać. Ale sen miał niespokojny. Marzyło mu się śledztwo, raz wraz musiał sięgać do kieszeni i opłacać się komisji reżnokolorowemi bumażkami.

Zapewne pod wpływem tego snu z samego zaraz rana pospieszył do mieszkania rotmistrza i znając rozkład chciał wejść do zajmowanych przez niego pokoi.

Gospodyni zastąpiła mu drogę.
— *Jzwinitie!* nie można, spią...
Horodniczy spojrział na nią z pod oka.
— *Wriosz, baba!* — rzekł
— Nie kłamie — zakłęła się kobieta —
jeżeli pan naczelnik chce, proszę wejść...
choć może to będzie niedelikatnie... rot-
mistrz jest słaby, przeziębził się w drodze...
ot, proszę zobaczyć, gotuję dla niego ziółka.
Horodniczy zawahał się, pomyślał tro-
chę i wyszedł.

Idąc był zły i coś mruzczał pod nosem.
Stróża, który zamiatał ulicę i nie dość spie-
sznie usunął mu się z drogi, własną swą bur-
mistrzowską ręką palnął w kark.

Doszedłszy do domu, w którym mie-
szkał doktor, wszedł doń szybko.

— Doktorze! — rzekł nie witając się —
na służbę do chorego!

— Kto chory?

— Rotmistrz... tak przynajmniej powiada
gospodyni... przeziębził się na wczorajszy wycie-
ciec. To szalona kobieta ta jego wnuczka,
któż widział aż do nocy wozic staruszkę!...
Trzeba iść go odwiedzić i zapisać lekarstwo,
gotów umrzeć a owo uwolnienie jeszcze nie
przyszło.

— Spieszę natychmiast.

Doktor ubrał się szybko.

— Wyszedłszy od chorego wstąpił pan
do mnie, ale staraj się z nim widzieć ko-
niecznie — rzekł rozchodząc się z nim ho-
rodniczy.

Gdy doktor przyszedł, gospodyni nie
zastępowała mu wcale drogi.

— Idź pan — rzekła — czekają na pana
pan rotmistrz bardzo chory... ot widzisz pan,
gotuję ziółka.

Doktor wszedł, zabawił chwilę i wy-
szedł zaraz niosąc w ręku opieczętowaną ko-
pertę.

— Cóż, panie doktorze, nie umrze
z tego?

— Z tego z pewnością nie — odrzekł
lekarz — gotój pani ziółka, niczego więcej
nie potrzeba. Za parę dni zdrów będzie.

Wyszedł tylnym wyjściem z domu, praw-
dopodobnie dlatego, że na frontowe wycho-
dziły okna mieszkania horodniczego.

Boczną uliczką pospieszył do siebie i
wszedłszy do swojego pokoju zamknął się
na klucz.

Potem wyjął z kieszeni ową kopertę,
zważył ją w ręku, przyjrzał się adresowi, i
rzekł do siebie:

— Do mnie, adresowane do mnie... zo-
baczymy co tam jest we środku.

W kopercie znajdowały się dwa listy.
Jeden dość gruby pod adresem horodniczego
drugi otwarty z intytlacją: „Panie doktorze!”

W liście tym były tylko te wyrazy:

„Ponieważ nie mogę odstępować od
łoża mego chorego dziadka, śmiem zatem
prosić pana, o przesłanie załączonego pisma
panu horodniczemu z prośbą, żeby go nie
otwierał, aż pozwolenie powrotu do kraju
dla dziadka mego nadejdzie.“

Podpis stanowiło imię „Konstancja.“

Oprócz tego było jeszcze w liście kilka
papierków, podobnych jeden do drugiego
jak krople wody. Doktor przyjrzał im się
uważnie. Malowane były w różnówzore pasy
jak tęczę i mieściły rozmaite emblematy i

napisy. Jeden z tych napisów przestrzegał
że za podrabianie takich papierków można
się dostać na Sybir.

— Po cóż je podrabiać, — uśmiechnął
się małomiejski Eskulap — kiedy same włożą
w ręce?...

Zamknął je do biurka, list Konstancji
skręcił w fidibus, zapalił nim fajkę, wypa-
liwszy wytrząsnął popiół.

— No, teraz czas — rzekł do siebie —
trzeba to pismo odnieść horodniczemu.

Nie przyszła mu pokusa zaglądać co
się w tem piśmie mieści, może się domyślał
a może z natury nie był ciekawy.

Horodniczy, oczekiwał go niecierpliwie
i wybiegł przeciw niemu aż do drzwi.

— Cóż doktorze? widziałeś go? — za-
pytał niespokojnie.

Lekarz wyminał bezpośrednią odpowiedź
na pytanie.

— Przeziębienie w takim wieku zawsze
jest niebezpieczne... gdyby się wywiązało
zapalenie płuc, w takim razie za nic nie
ręczę.

— A wnuczka?

— Naturalnie rozpacza, że szaleństwem
swojego dziadka nabawiła choroby... Powie-
działa mi, że go na krok nie odstąpi, i pro-
siła, żebym panu naczelnikowi oddał to
pismo.

Horodniczy chwycił za pismo i chciał
rozłamywać pieczętkę. Doktor go wstrzymał.

— Za pozwoleniem, pan naczelnik zrobi
jak będzie chciał, ale ona prosiła, żeby tego
nie otwierać, aż pozwolenie wyjazdu dla jej
dziadka nadejdzie.

— A to co innego — rzekł horodniczy
chowając pismo do kieszeni.

I wskazując ręką parę buchający samo-
war dodał:

— Może parę szklaneczek herbaty, do-
ktorze.

— Oh! nie! — odrzekł lekarz, żegna-
jąc się, — muszę spieszyć do pacjentów,
tylu chorych jest w mieście. Na inny raz.

Po wyjściu doktora opieczętowana ko-
perta zaraz wyszła z kieszeni horodniczego
i znalazła się w jego ręku.

— Jak przyjdzie pozwolenie — pow-
tórzył półgłosem — miałbym ja się z pyszna
gdybym czekał. To pozwolenie przyjdzie
w *Jurjew dzień!*...

Rozłamał pieczętkę. W kopercie nic nie
było prócz takich samych papierków, jakie
już widzieliśmy w ręku doktora, z ostrzeże-
niami, że za ich podrabianie idzie się na
Sybir.

Horodniczy nie czytał ostrzeżenia, po-
liczył tylko papierki. Było ich dziesięć.

— No, więcej grzechem było żądać —
rzekł do siebie — ale służba służbą, obo-
wiązek przedewszystkiem, trzeba zdać raport.

Zapomniał o buchającym parą samowa-
rze i siadł do pisania raportu.

Donosił w tym raporcie gubernatorowi
że zesłany na mieszkanie do miasteczka rot-
mistrz Gradowski, uciekł tegoż dnia w nocy
i prosił żeby za zbiegłym zarządzono najści-
ślejsze poszukiwania.

Ukończywszy pismo złożył je w sposób
przepisany i chciał kłaść do koperty, na
której napisał adres gubernatora.

Przed włożeniem jednak coś mu się
przypomniało nagle.

— Do gubernalnego miasta — rzekł do
siebie — jest tylko sto dwadzieścia wiorst...
poczta odchodzi za godzinę, zawsze to na
czas przyjdzie, dzisiaj jeszcze i dzisiaj pogoń
będzie zarządzona, tymczasem trzeba jeszcze
jedną pilną ekspedycję wyprawić.

Zabrał się znowu do pisania. Tym ra-
zem pisał do sądu okręgowego w jakimś
powiecie gubernji irkuckiej, że cytowana
tamże na świadka Praskowja Antonowna Po-
nomarewa w mieście zostającym pod jego
zarządem nigdy nie przebywała i nie przy-
bywa, nie mogła zatem zostać w sprawie o
którą sądowi chodzi przesłuchaną.

— To bardzo pilne — mówił pisząc —
na to już pół roku czekają.

Po napisaniu przygotował i opatrzył
adresem drugą kopertę.

— Teraz uważajmy, żeby się nie po-
mylić. Tęby była *prekrasna szutka*, gdybym
się pomylił, i gdyby gubernator odebrał do-
niesienie o Praskowji Antonownie, a sąd
okręgowy w Irkuckiej gubernji o ucieczce
rotmistrza...

Tak rozmawiał sam z sobą, pieczętował
bardzo uważnie i był przekonany że się nie po-
mylił, chociaż po odbiorze tych ekspedycyj sąd
okręgowy i gubernator z pewnością nie przy-
znali mu nieomyślności, gdyż w cztery dni
otrzymał z kancelarji gubernatora surowe
napomnienie, że pisma przeznaczone dla in-
formowania odległych sądów przesyła zamiast
raportów swojej władzy zwierzchniczej, a we
dwa miesiące jeszcze później, kiedy już wszy-
stkie następstwa ucieczki rotmistrza były za-
tarte, horodniczy śmiał się do rozpuku czy-
tając odezwę, w której sąd okręgowy wyra-
żał mu swoje ubolewanie z powodu tej ucie-
czki, ale zarazem objawiał wątpliwość, ażeby
zbieg chciał szukać schronienia tak w Irkuc-
kiej, jak w ogóle w syberyjskich gubernjach.

Piątego zatem dnia dopiero wysłanym
został rzeczywisty raport o ucieczce rotmi-
strza, a w kilka tygodni później horodniczy
ujrzał się w konieczności użycia kilku z przy-
słanych przez Konstancję papierków na uwol-
nienie się od ciężkiej odpowiedzialności.

Zbytecznym byłoby dodawać, że wy-
starczyły.

Tym sposobem starzec i jego wnuczka
zyskali aż pięć dni czasu. Przez pięć dni
wolni byli od wszelkiej pogoni, mieli wszelką
swobodę ruchów. Horodniczy postąpił z ni-
mi jak sumienny *wziatocznik*. Zapłacony za
to tylko że nie widział ucieczki, uważał że
pieniądze dostał za darmo, a że darmo ich
brać nie lubił, więc chciał je sobie zarobić
i dlatego ucieczkę zasłaniał.

(C. d. n.)

MIECZYSLAW ROMANOWSKI.

Kilka słów o jego życiu i dziełach na tle
spółczesnej chwili

przez

ADAMA KULICZKOWSKIEGO.

(Ciąg dalszy.)

We Lwowie otoczył się gronem młodzieży,
która żywiła też same zasady jak on, dążyła do

tychże celów, umiała sercem zapłonać ku wszystkiemu, co wzniosłe i szlachetne. Ścisłej jednak przyjaźń zawarł z Mieczysławem Pawlikowskim i Ludwikiem Wolskim. Przed nimi zwierzał się ze swoich marzeń i pomysłów, im obydwom odczytywał próbki młodocianej swej muzy, tak te, które miał ze sobą ze Stanisławowa, jak i najświeższe. Były to same piosenki, niewielkie i niewielkiego jeszcze polotu, ale znamionujące wrodzony talent. Forma ich nieograna, a przedewszystkiem język niekiedy błędny i zaniedbana ortografia wywoływały w tem szczuplutkiem kółku przyjaciół ostrą krytykę i żywą dyskusję. Pawlikowski znał dobrze zasady języka, a uwagi jego w tym przedmiocie były zawsze ze wszech miar właściwe. Poczynający poeta, nieznany jeszcze szerszemu światu, żywy z natury swojej i ognisty, niecierpliwił się nieraz temi spostrzeżeniami; przekonywany jednak zawsze ulegał.

Bezpośrednie wrażenia owych studencko-literackich rozpraw działały z początku poniekąd deprymująco na umysł i wolę Romanowskiego. Uczuwając głęboko wytykane braki, nie miał mimo zachęceń odwagi do wystąpienia publicznego. Tymczasem poufna przyjacielska krytyka skierowaną była tylko ku temu celowi, ażeby niepoprawną jeszcze formę słowa doprowadzić do potrzebnej oglady i przysposobić ją do godnego reprezentowania pięknych i świeżych pomysłów.

Chłodziło przyjaciółom Mieczysława o to, aby go skłonić do opracowania większego utworu. Przy takim usposobieniu poety, jak je opisaliśmy, nie łatwym to było zadaniem. Nie wierzył w siebie — i nie ufając swym siłom, odpowiadał na wezwania kolegów wymijająco. Trzeba się było uciec do fortelu. Owóż na jednym z posiedzeń, jakie często miewali, przyszło wreszcie po długiej dyspacji do postanowienia, że każdy z nich na temat wybrany tajnym głosowaniem opracuje poetycznie powieść obszerniejszych rozmiarów. Spisano na kartkach tytuły przyszłych poematów, a z porozumienia Wolskiego i Pawlikowskiego wyszedł jako zadanie literackie temat Mieczysława z godłem *Zaręczyny na pobojowisku*. Działo się to podobno ostatnich dni roku 1853. Uchwalone utwory miały być ukończone w przeciągu miesiąca. Z przyjętego zadania wywiązali się tylko Romanowski i Pawlikowski. Pierwszy napisał *Chorążego*, drugi zaś *Pamiętnik pieśniarza*, wydany osobno nakładem Kallenbacha we Lwowie roku 1856.

O druk *Chorążego* w *Nowinach* postarali się przyjaciele Mieczysława; ukazał on się jednak — co już zauważyliśmy — w tem piśmie nie cały, lecz tylko w pierwszej swej połowie. W całości wydrukowano tamże wcześniejszą pracę: *Charta Watażki*, gawędę, której osnowa złożyła się z opowiadań Seweryna Ostaszewskiego, Ukraińca, żołnierza z r. 1831 *).

Dzienniczek Romanowskiego, z którego jeden podaliśmy wyjątek, obejmuje czasy uniwersyteckie. Rozpoczyna się od dnia 9 lutego r. 1855. Pisany z początku dość pilnie, potem coraz rzadziej, urywa się wreszcie z dniem 18 kwie-

tnia roku 1856. Wrażenia odebrane, myśli i tęsknoty młodzieńczej duszy, wylania patriotyczne, wypisy z czytanych książek, rojące się pomysły do utworów, rozbiory kwestyj poważnych, czasem sentencja jaka niby złote ziarno prawdy lub godło życia, czasem w natchnieniu złożona strofka — oto treść tych zwierzeń przed samym sobą. Warto, ażeby przyszły wydawca uczynił z pamiętnika staranny wybór do zbiorowej edycji.

Dla braku miejsca wypisujemy tutaj nie-które tylko ustępy.

× Ciekawem jest przedewszystkiem zapatrywanie owoczesne poety na stosunki z ludźmi. „Masz li serce gorące“ — czytamy pod dniem 10 lutego 1855 — „czujesz więcej od innych: pokryj twoje uczucie zimnym wyrazem twarzy. Niech skorupa będzie zimna, kiedy wewnątrz kipi; i czem więcej wzmaga się kipiątek, tem więcej niech chłodnieje skorupa. Strzeż się, byś się i wyblęsnieniem ócz twych nie zdradził przed ludźmi, że czujesz. Bo ledwie spostrzegą w tobie uczucie, umyślnie będą cię szarpać złośliwymi ugryzkami, by cię rozkrwawić. Na kwiaty twoich marzeń rzucą kałem szyderstw brudnych, za lo-tem twych myśli puszcza swoje śmiechy jak roje wróbla za nocnym puszczykiem. Strują cię, dadzą ci pić gorycz i żółć... A ukochałeś kogo z braci? ani waż się i drgnieniem twarzy okazać mu tego; inaczej na twój gorący uścisk odpowiedzą ci lodem, lub uśmiechem litości, który twe serce jak sztylet przesyje; potem rozbolełego porzucą, lub odepchną jak cacko, którem się do sytu nabawili. Kochaj ludzi! kochaj braci! — ale milcz! Nie mów, żeś się do nich przywiązał, kiedy cię o to zapytają; bo wylanie oplacisz z pewnością spokojem własnym. Bądź lodem! — ludzie bowiem, odkrywszy, że pod lodem kryje się wulkan, pomszczą się srogo na tobie, za to, że ich serce nie uposażyla przyroda takim uczuciem, jak twoje.“

Przesadzone to z wielu względów — ani słowa! Ale czyż może własne doświadczenia poety i wypadki, z których tu sprawę zdać trudno, nie były zdolne wywołać takich myśli w młodzieńczej i gorącej, a do tego wyjątkowej duszy? Jako syn pieśni, jako istota obdarzona od natury głębszym uczuciem, pojmująca wszystko piękniej i wzniolejš, pragnął swym pomysłem nadać odpowiednią formę, uczynić je zrozumiałemi ludziom, podbić i zhołdować dla nich serca. Czyż w obec takiego zadania pojmowanego wysoko, kiedy — prócz niewielu tych, którzy go rozumieli — stykać się musiał codziennie z zimną żelazną rzeczywistością, z prozą życia, nie mógł doznawać nie raz przykrych zawodów? gorzkiego rozczarowania?... Że tak bywało, świadczy inny urywek, okazujący zarazem łamanie się młodego ducha z licznymi trudnościami twórczej pracy.

„Czuć w piersi ogień,“ pisze pod dniem 25 lutego — „nie módz go przygasić! — ciągle i nieustające pragnienie piękności nie módz zaspokoić: to okropne! to męczarnie nad męczarniami... Przyrodo! nacoś mi dała poezję? nacoś mi dała pragnienie? naco ogień, kiedyś mi nie dała sił do pochwylenia tego wieczystego ogniska piękna? Dałaś mi czucie, bym je zrozumiał; dałaś mi oko, bym je ujrzał; ucho, bym jej harmonję usłyszał, bym czuł i zdumiewał się nad pięknoscią i ogromem twoim. W piersi rozbudziłaś pragnienie wylania ideałów tych, a dałaś głos tak słaby, tak nikły, mdlejący przy ogromie innych głosów! Pocoś mi dała władzę poznania idei twórczej piękności, kiedyś nie dała sił wylania uczutej

piękności! Szalona! czym ja cię prosił o to?... Zaco cierpię? zaco schnę i więdnę z pragnienia i ciągłego skwaru najdzikszych uczuć? O! gdybym choć miał komu wylać się z tem cierpieniem! gdybym miał serce, któreby mię pojęło, wsparło, braterską podało radę, powiedziało: Czyn to, czyn owo! A tu nikogo! nikogo!... Powiem braciom, że cierpię? — śmieją się ze mnie! Powiem, dlaczego cierpię? — wyszydzą mię, lub zbędą radą lada jaką, ogólnikiem, lub słówkiem: „Nudny jesteś!“ — „Męczysz mię!“... Męczę was, bracia? nudzę was?... Toż dajcie mi radę, na jakiej drodze mam się dobijać tych kwiatów poezji. — Ciszej, serce! ciszej!.. ochłodzimy cię wkrótce“...

Innym znowu razem (w zapisku z dnia 4 marca r. 1855) wypowiada otwarcie, że miłe mu są przecież te burze serdeczne i niespokoje, stokroć miłsze, niż owe jednostajne przeżuwanie żywota tyłu na pozór szczęśliwych istot tej ziemi. „Szczęśliwi ludzie, których myśl nie sięga po za domową strzechę. Znalazłszy pracowitą towarzyszkę, pędzą dni swobodne, modlą się Bogu i patrzą spokojni na dorastające dziatki. Życie ich snem nietrapiącym; umierając, przewracają się tylko na drugi bok, by dalej spać — już bez końca! na tym kawałku ziemi, gdzie się urodzili, wzrosli i żyli... I ci szczęśliwi, którzy podciawszy myśl i czuciem trochę, sparzeni wracają po krótkiej walce do siebie i chronią się potem pod skrzydła zacisza domowego. Oni obudzili się na chwilę — a spostrzegłszy, że dzień słotny, piorunny i burzliwy, pomodliwszy się Bogu zasypiają jak pierwsi, i przewracają się spokojnie tylko na drugi bok — do grobu! Pierwsi i drudzy szczęśliwi; w myśli i w sercu ich ciąga równowaga. A jednak ja im ich wiary i spokojności nie zazdroścę! Ciągła walka, tęsknota, pragnienie czegoś wyższego i burze zwątpienia są straszne, beleśne. Lecz pośród tych burz i walk są chwile tak jasne, tak błogie, tak piękne, że cała ich wiara, spokojność i sen nie warte są tyle, co jedna taka chwila, a tą chwilą jest — natchnienie.“

Jako poetyczną i że tak powiemy, publiczną ilustrację tych poufnych, jedynie własnej duszy spowiadanych cierpień, pragnień i niepokojów, będzie na miejscu przypomnieć ulotne wierszyki z tego czasu pochodzące: *Hej życia, hej ognia, bo duszno nam tak!* — *Nie drzyj serce tak ku burzy!* — *Wy chcecie pieśni o bracia moi!* i inne pomniejsze utwory, o których już mówiliśmy (str. 108 i 109).

Prócz wrodzonej, z poetycznego usposobienia i żywego charakteru płynącej drażliwości, która się jednak tylko w tym pierwszym życia jego okresie niekiedy objawiała, był Romanowski zresztą zupełnie wolnym od zarozumienia. Skromny w sądzeniu o sobie, w początkach nawet nie łatwo ufał własnym siłom. Widać to już poniekąd z owych okoliczności, które towarzyszyły powstaniu *Chorążego*; jeszcze bardziej jednak przebija się ta skromność w zwyczaju poety zwierzenia się z pomysłów i prac swoich swej siostrze. Czynił to nietylko wówczas, kiedy dopiero pierwsze kroki stawiał w obranym zawodzie, ale zawsze — a sądy jej i zdania przyjmował z uszanowaniem. Usposobienie to stwierdzone mamy w następującym zapisku dziennika: „Karcił mię brat, że niesłusznie wybucham gniewem, niesłusznie smucę się. W części miał słusność. Kocham go za to więcej. Jedną mu tylko zarzucam niesłusność, a ta jest, jakobym ja chciał nad przy-

*) Siostra poety jest zdania, że *Charta Watażki* napisany został wcześniej od *Chorążego*. I myśmy tak myśleli, widząc w *Nowinach* pierwszy utwór zamieszczony w całej osnowie, drugi zaś tylko w ustępach. Wersja o powstaniu *Chorążego* tłumaczy nam się więc w taki sposób: że jest on istotnie pierwszą większą pracą Romanowskiego, ale nie najpierwszą w ogóle.

zaciółmi górować. Nie jestem dzieckiem by myśl podobna mogła urósć w mej głowie (25 go. lutego)“.
(C. d. n.)

Messjanizm i Towiańszczyzna.

w ogólnym zarysie.

Napisał

CZESŁAW PIENIAŻEK.

(Ciąg dalszy.)

Towiański miał wszelką sposobność od czasu wyjazdu z Litwy, wczytywać się w te dzieła Mickiewicza, które nie znajdowały przystępu w granice panowania rossyjskiego. Od r. 1837, kiedy po raz pierwszy wyjechał — do r. 1841, gdy przybył do Paryża, dość było dlań czasu na rozpatrzenie się w IIIciej części Dziadów, w księgach pielgrzymstwa i narodu polskiego itd. Znalazłszy w nich ową zagadkowość, mistyczność, owe porwy nieświadomej siebie twórczości, o czym mówiliśmy już słowami Małeckiego, użył tego wszystkiego na to, aby wytłumaczyć poecie, że tenże pisząc owe rzeczy, był niejako prorokiem, zapowiadającym przyście messjasza. Ważną tu będzie rzeczą rozpatrzyć się cokolwiek w III. części Dziadów, bo z nich najłatwiej wywieść wyjaśnienie tego powiązania się messjanizmu u Mickiewicza z towiańszczyzną.

W przedmowie do tego poematu powiada poeta:

„Zdaje się, że królowie mają przeczucia Herodowe zjawienia się nowego światła na ziemi i o bliskim swoim upadku, a lud coraz mocniej wierzy w swoje odrodzenie się i zmartwychstanie...”

skoro okrucieństwa względem nieszczęśliwego narodu do mordowania młodzieży posuwają, jak niegdyś Herod przed Chrystusem. Jest to już zapowiedzią rozwiniętej następnie apoteozy nieszczęść politycznych Polski, postawionych w obrazie, na podobieństwo męczeństwa Chrystusowego, a zarazem zapowiedzią messjaniczną, nowego „światła,” nowych wydarzeń, mających świat przeobrazić.

W prologu zaznacza poeta potęgę moralną męczeństwa, mówiąc:

„Ludzie! każdy z was mógłby, samotny, więziony, Myślą i wiarą zwać i podźwigać trony.”

W improwizacji Konrada znajduje się już ta potęga moralna męczeństwa, tryskająca entuzjazmem i uczuciem miłości narodu, do najwyższego rozwinięta stopnia, spinająca się z globu w niebiosa i wyzywająca w nich Boga. Entuzjazm i uczucie, nie uznają tam rozsądku, rozumu — bo wiedzą jak one często godzą się z niesprawiedliwością, jak depcą miłość, tę zasadę religji. Bóg widzi niesprawiedliwość wszelką, widzi wszelkie grzechy rozumu, a pozwala na cierpienia ludzkości, na udrczenia narodu przez niesprawiedliwość piekielną. Bóg ma władzę wszelką, a nie używa jej na poskromienie złego, na rozlanie szczęścia po ziemi. Konrad nie mierzy rozumem tych rzeczy, nie mierzy ich religją — on mierzy je sercem i czuje, że złe się dzieje, że niesprawiedliwość tryumfuje, a Bóg rządzi! To też sam potężny uczuciem, olbrzymi miłością swojego narodu pragnie, aby rozum Boży ustąpił miłości człowieczej panowania nad światem.

„Jeśli mnie nad duszami równą władzę nadasz,
Jabym mój naród jak pieśń żywą stworzył,
I większe, niżli Ty, zrobiłbym dziwo:
Zanuciłbym pieśń szczęśliwą!
Daj mi rząd dusz!...”
„Ja chcę władzy, daj mi ją, lub wskaż do niej drogę;
O prorokach, dusz władcach, że byli, słyszałem,
I wierzę; lecz co oni mogli, to ja mogę,
Ja chcę mieć władzę, jaką Ty posiadasz,
Ja chcę duszami władać, jak ty niemi władasz.”

Ale Bóg milczy na to wezwanie; rwące się ku panowaniu nad duszami serce Konrada, nie czuje w sobie natchnień Bożych, nie spływają nań, Bóg nie daje władzy entuzjastom, bo przedwieczna mądrość, nie może siły mądrości rzucać na pastwę płomiennego uczucia, nie może gasić światła rozumu, więc Konrad zapiera się Boga mądrości:

„Kłamca kto Ciebie nazywał miłością,
Ty jesteś tylko — mądrością!”

Tę mądrość wyzywa Konrad na śmiertelną walkę:

„Ja wydam Tobie krwawszą bitwę niżli szatan,
On walczył na rozumu, ja wyzwę na serca.”
„Wiedz, że uczucie spali, czego myśl nie złamie.”

A potem znowu domaga się władzy dla uszczęśliwienia ludzkości:

„Zaklinam daj mi władzę; jedna część jej licha

Z tą jedną częścią, ileż jabym szczęścia stworzył.”

I dla tego tylko, dla tego jedynie, by rościć szczęście narodu, nie dla pychy własnej, potrzebna mu władza; ale z tej miłości dla narodu popada w pychę, mierzy się z Bogiem, z miłości narodu chce być nawet zaciętszym od szatana Boga przeciwnikiem. Grzeszy miłością, bluźni miłością, ale wina przebaczoną mu będzie, bo:

„...on szanował imię Najświętszej Twej Rodzicielki!
On kochał naród, on kochał wiele, on kochał [wielu]!”

Bóg winę przebaczył i na znak przymierza, odstania przyszłe losy narodu, ale nie Konradowi, lecz księdzu Piotrowi. Konrad przemawiał jak „mistrz” do Boga, a ks. Piotr swoją „nicość” wypowiadał i będąc „prochem i niczem” „przed Boga obliczem” — jako „proch będzie z Panem gadał.”

Objawia Bóg swoją miłość, której przeczył Konrad — ale objawia ją temu, który w pokorze ducha, zaparciem siebie, wiarą we wszech miłość Bożą i czcią dla Jego wszechmądrości, na łaskę objawienia Bożego zasłużył. Rozum i serce, mądrość i uczucie, myśl i natchnienie, nauka i sztuka, filozofja i poezja — wszystko razem przetopić się powinno, przetopić się musi w wierze, a wtenczas Bóg spłynie w człowieka i pozwoli mu wiarą rozwiązać wszelkie zagadnienia życia.

Wszystkie te myśli, rzucone przez poetę płomiennie, w najwyższym podniesieniu ducha, rozwijają się później z pewnymi zmianami, w prelekcjach jego. Taż sama walka wypowiedziana czystemu rozumowi, filozofji, toż samo przyznawanie najwyższej potęgi uczuciu, entuzjazmowi, taż sama wiara w moc podnoszenia się człowieka przez natchnienia Boże do Boga.

Konrad nie stworzył w sobie miejsca dla Boga, nie chciał go mieć w sobie, ale zostawiał go obok siebie, sam chcąc osobą swoją stać się mu równym. Ks. Piotr ukorzył się — w proch rozsypał swoje „ja” i Bóg wstąpił w niego.

Nic nie było łatwiejszego Towiańskiemu, jak wytłumaczyć poecie, że w Dziadach przepowiedział swoje i jego (Towiańskiego) stanowisko. Konrad, to poeta Mickiewicz — geniusz, ale dumny, więc Bóg mu się nie udzielił; ks. Piotr to prostaczek podobny apostołom, to Towiański przez korzenie się przed Bogiem, odbierający Jego objawienia. Tem łatwiej było zestawić takie wyjaśnienie, że poeta sam siebie w Konradzie przedstawił, pisząc nagrobek Gustawowi, i nasuwając około Konrada okoliczności niektóre z własnego życia. Tak np. w scenie pierwszej, aktu pierwszego, gdy koledzy więzienia oczekują improwizacji Konrada, odzywa się jeden z nich:

„Teraz bracia, piosenkę lepszą posłyszemy....
Ale muzyki trzeba... Ty masz flet Frejendzie,
Graj dawną jego nutę...” *)

Zuchwałość Konrada, z jaką wyzywa Boga do walki, to ognista myśl samego poety, który przez długi czas zachwiany był w wierze, a dopiero za drugim pobytom w Rzymie, pogodził się z nią pod wpływem hr. Montalembert i ks. La Menais. Odtąd nawet do mistycyzmu religijnego posuwał się często, chciał zostać księdzem i zapewne do tego stanu jego duszy odnosi się ustęp w Dziadach, gdzie mówi ks. Piotr o Konradzie:

„On młody, zrób go Panie sługą Twojej wiary.”

Improwizacja i widzenie ks. Piotra, to dwie chwile z życia naszego poety, to dwie rewolucje ducha: zachwianie się w wierze i mistycyzm religijny. Te dwa momenta wewnętrznego życia, spisał poeta pod świeżym wrażeniem, jakie nań wywarły, Dziadów bowiem część III powstała niedługo po wyjeździe Mickiewicza z Rzymu. Pierwszą z tych rewolucji na wyłączną własność zostawia Towiański poecie, drugą dzieli się z nim o tyle, że czyni się podobnym ks. Piotrowi, że wyjaśnia Mickiewiczowi jego własnymi słowami, w jaki sposób od Boga odbierał natchnienia, że korzył się jak ks. Piotr i że jak ten, stopił w sobie całe swoje „ja,” rozum i serce, myśl i uczucie — i że przeto Bóg wstąpić mógł w niego. Konrad wierzy w to, że „są proroki,” dlaczegożby teraz Mickiewicz nie wierzył w proroka Towiańskiego?

Z miłości dla ojczyzny walczył Konrad z Bogiem, z miłości dla ojczyzny, poddaje się teraz poeta objawieniu Bożemu, jakie mu Towiański przynosi. Wiara zyskała sobie łaskę Bożą, bo gdy poeta z wiarą i pokorą (po nawróceniu się swoim) do Boga się zbliżył, otwarło mu się widzenie ks. Piotra, a w tem widzeniu odsłonił Bóg właśnie przyszłe dole ojczyzny i zapowiedział przyście jej wybawiciela. Książd Piotr proroczko powiada Konradowi:

*) W przyjacielskim kole Filaretów, często improwizował Mickiewicz, zwykle do tego nastrajany muzyką. Miał ulubione sobie melodie, mianowicie: nutę do pieśni Karpińskiego. „Już miesiąc zeszedł, psy się uspiły,” albo menuet z Don Juana. Melodje te wygrywał na flecie Frejend, a Mickiewicz improwizował przy tej muzyce. Przy jednej z takich improwizacji, podmówili koledzy Frejenda, ażeby grał tak prędko, aby poeta nie mógł zdążyć za nim. Mickiewicz atoli improwizacji nie przerwał, jeno przechodząc z obranego tematu na ton wesoły, zawołał:

„Czyż mnie koledzy o nieba! Chcecie wystrychnąć na głupca? Przy takiej nucie potrzeba, Językiem trzepać hołupca.”

Otóż to do takich scen odnosi się wiersz powyższy Dziadów.

„Ty pojedziesz w daleką, nieznaną drogę,
Będziesz w wielkich, bogatych i rozumnych tłumie:
Szukaj męża, co więcej niżli oni umie.
Poznasz, bo cię powita pierwszy w Imię Boże;
Słuchaj co powie...“

Ustęp ten odnieśćby raczej należało do nawrócenia się Mickiewicza za wpływem ks. Lamena, lecz Towiański czyż nie wita w „Imię Boże“ poety, skoro przychodząc doń powiada: „Bóg mnie przysłał do ciebie, Jego cię witam imieniem?“ Nie byłoby to powitanie w Imię Boga, Boga miłości uczynione, skoro na wstępie przynosi szczęście z uzdrowienia żony, w smutny dom poety?

Znalazł się więc materiał we własnym Mickiewicza dziele, który tak bardzo nadawał się Towiańskiemu do przekonania poety, a zapewne przedewszystkiem do przekonania siebie samego, o boskim swoim posłannictwie. Zanim dalsze uczynimy poszukiwania w tej mierze, kilka słów jeszcze poświęćmy „widzeniu“ ks. Piotra. W ustępie tym przedstawia poeta przejścia narodu, zupełnie podług skali męki Chrystusa. Jest to apoteoza prawie tak silna, jak owa w pro-roctwie kapłana polskiego. Z grona na Sybir pędzonej dziatwy, uchodzi jedno dziecko,

„... rośnie... to obrońca!
Wskrziesiciel narodu!“

Jakoż gdy naród skonał na krzyżu, wybi-jać mu zaczyna zmartwychwstań godzina; zjawia się mąż, ten sam co był owym dzieckiem małym, które uszło przed Sybirem, teraz:

„On ślepy, lecz wie, że go anioł pachole.“

Ten zbawca narodu:

„Na trzech koronach, a sam bez korony!
A życie jego — trud trudów,
A tytuł jego — lud ludów;
Z matki obcej, krew jego, dawne bohaterzy:
A imię jego: czterdzieści i cztery.“

Ten ustęp widzenia ks. Piotra podał ogromne pole domysłom, kombinacjom wszelkiego rodzaju. Rozumiano pod symboliczną nazwą: 44, ks. Czartoryskiego, domyślano się też, że to zapewne sam poeta, którego imię i nazwisko w kombinacji arytmetycznej, daje liczbę 44 głosek. (Adam: 4 głoski, Mickiewicz: 10 głosek, z pomnożenia wypadnie: 40, gdy doda się pierwszą liczbę — będzie: 44). Dość powszechnem było mniemanie, zwłaszcza po objęciu panowania przez Napoleona III, że jego imię wypowiedział poeta (44, cyfrą rzymską XLIV, coby oznaczać mogło: Książę Ludwik Napoleon.) Można też dopatrywać się pewnej analogii, między tą naszą symboliczną cyfrą 44, a taką samą w Kabale żydowskiej. Jak wiadomo: język hebrajski, podobnie jak grecki, literami oznacza cyfry. Wyraz hebrajski „dm“ (wymawia się: dam) krew, oznacza zarazem liczbę 44, a i wyraz ten i ta liczba często używane bywają w kabale, jako znamię proroctwa.

Wszystkie tego rodzaju domysły, domysłami jeno pozostaną, a dociekanie całej sprawy, zdaje się — że żadnego nie przyniesie pożytku, skoro sam poeta nie zostawił do niej komentarza.

Możnaby tu wycisnąć promyczek rozjaśniający cokolwiek tę sprawę, z XLIV psalmu Dawida.

Król Dawid woła do Pana zastępów:

„Tyś jest król mój, tyś pan mój, który wierne swoje
Masz na dobrem baczeniu, w każde niepokoję,
Nieprzyjaciele nasze przy tobie zetrzemy,
A w imię święte Twoje, harde podepczemy.
Bowiem ja nie pokładam nadzieje w swej broni,
Ani mnie moja strzelba w potrzebie obroni.“

Tyś nas Panie z ciężkiego trapienia wybawił.“*)

Jeżeliby już tę zawilóść symbolicznej liczby, jakim naciąganym sposobem dało się rozwiązać, to najłatwiej możnaby ją liczbą 44 psalmu wytłumaczyć, który całą wiarę w polepszenie doli narodu, w Bogu jedynie pokłada i z nieba tylko spodziewa się ocalenia.

Tego ocalenia wyczekiwał też z nieba mesjanizm i wierzył, że z tamtąd spłynie zasada, według której urządzi się dalsze porządki tego świata.

Wszystko co jest w Dziadach, umie Towiański wytłumaczyć jako przepowiednię swojego przyścia. Powiada, że był ciemnym za młodu a wiódł go widocznie anioł Boży po życia drodze skoro przewidział potem; tem wyjaśnieniem dał komentarz do przytoczonego powyżej wiersza: „On ślepy, lecz wie, że go anioł pachole.“ Wyrosłym bez korony wskrzesicielem narodu panującym na trzech koronach, to właśnie ma być nie co inne, jeno owe „światło nowe“, mające rozblysnąć się po „czasach Heroda“, a światło, które z nieba sprowadza Towiański. Krzewiciele tego światła, gromada związana z Towiańskim, jak orszak apostolski Chrystusa, sam bez korony, zawiadnie na trzech: Polski, Litwy i Rusi koronach i zdepcze trzy zaborczych rządów korony. Ma też „trzy oblicza“ zwrócone do trzech narodów, na które przedewszystkiem światło objawienia spłynie, tj. na Polaków, Francuzów i Żydów. Życie tej gromady pełnem będzie trudów apostolskich, pełnem cierpień tułających, lecz przez ten trud, przez tę apostolską pracę, zdobędzie narodowi tytuł: ludu ludów, jako takiemu, który z łona swego wytworzył dla człowieczeństwa nową erę dziejów, nowe drogi pochodu cywilizacji. Gromada owa zbiera się na obcej ziemi, w ojczyźnie nie swojej, więc nie własna matka-ojczyzna ją rodzi, ale ziemia obca: Francja. Krew jej dają dawne bohaterzy, czyli przeszłość Polski dziejowa, rycerska, bohaterska; a może też odnosi się to do przodków Towiańskiego, piastujących dygnitarstwa w Rzeczypospolitej. (Jeden z nich był wojewodą.) Wreszcie imię swoje 44 przybiera ten zbawca narodu od 44 uczestników apostolstwa, którzy na pierwsze hasło, skupią się około mistrza, wysłannika Bożego.

Taką dedukcją dającą się wysnować z III części Dziadów, argumentował zapewne Towiański, aby udowodnić poecie, że sam w dziele swem przepowiedział jego missję. (C. d. n.)

Przygody w Indjach

podróznika

JOMASZA ANQUETIL.

(Ciąg dalszy.)

Na drugi dzień ze wschodem słońca żegotki rozpoczęły hałaśliwe skrzywienie, wszyscy powstawaliśmy spiesźnie, małe dzwonki ozwały się tysiącem tonów, a wśród nich duży dzwon klasztorny poważnym głosem zwoływał mieszkańców

*) Tłumaczenie Jana Kochanowskiego.

miasta na drugą ceremonię. Niedługo w alei tamarynd ukazał się tłum ludzi, wesoly a nie hałaśliwy, spiesząc pieszo, konno, lub na wozach ciągniętych przez bawoły. Ubrani świeżo z puszkami u pasa na *areck i betel**) albo z tutką z liścia napełnioną grubymi cygarami, zbliżali się w porządku, bez krzyków ni śmiechów, przejęci myślą o uroczystości na jaką spieszą. Między niemi dzieci od 12 do 14 lat szły w milczeniu; im nie zbierało się na wesołość, miały bowiem zostać w kyungu na naukę, to też rozłączenie z rodzicami przez lat dwa lub trzy, usposobiało je smutno i poważnie. Byli tam krewni i przyjaciele właśnie wyświęconych księży, rodzice tych co ukończywszy nauki dziś opuszczali klasztor, niektórzy zaopatrzeni w koszyki z jadłem, inni obciążeni nieśli lub wieźli ofiary przeznaczone dla zakładu, a doszedłszy do końca alei zatrzymali się czekając na pochód, do którego mieli się przyłączyć.

Około dziewiątej uderzono w dzwony, bramy pałacu biskupiego i kyungu, rozwarły się jednocześnie i orszak księży wyszedł z gmachu patriarchy kierując się ku klasztorowi. Prowincjał zwyczajnie tak skromnie odziany, dziś wystąpił w całej świetności otoczony pompą przynależną jego godności. Siedział w lektyce wybitej jedwabiem i ozłoconej, niesionej przez czterech ludzi; straż honorowa przywdziana bogato wyprzedzała pochód, za nią postępowała muzyka, dalej przełożeni i wikariusze; przy lektyce służba niosła cały komplet przyborów, jakimi zwykli się otaczać więksi dygnitarze duchowni lub cywilni. Jedni trzymali szkatułki na *areck, betel* i inne przedmioty, drudzy spluwaczki w formie starożytnych waz, wszystko szczerozłote, to znów przepyszne parasole dla osłonięcia od promieni słońca. Za ukazaniem się orszaku, ludność rzuciła się na kolana powstając dopiero w chwili, gdy procesja weszła do klasztoru. Sala przeznaczona na dzisiejszą uroczystość była mniej imponujących rozmiarów niż Tarah-yoom, i złożona nie tak obficie, ale ten sam wyniosły fotel został przeniesiony i ustawiony w głębi, kazalnica stała przy bocznej ścianie a estrada z pulpitemi, świeczniki i reszta ozdób były stosownie do przestrzeni rozmieszczone.

Rozpoczynająca się ceremonia miała więcej cechę uroczystości rodzinnej na szeroki zakres, niż obrzędu religijnego. Dzieci jedne wstępowały w ojcowskie progi klasztoru dla szukania wiedzy, inne żegnały święty przybytek, a część młodzianów gotowała się poświęcić rozkwitające życie w celu dostąpienia Nibanu. Po śpiewach, błogosławieństwie, kadzidłach, patriarchy miał krótką przemowę, poczem rozpoczął się egzamin. Byłem zdziwiony słysząc jak chłopcy, pytani na wrywki z różnych ustępów ksiąg świętych, umieli je na pamięć i tłumaczyli jasno cel i zbawienny wpływ spowiedzi, reguły klasztoru i dziesięciu przykazań a raczej uczynków wzbronionych. Cambua-Tsaya miał znów pole rozwinięcia swej pięknej wymowy. Przeszedłszy w krótkości powołanie księży i doskonałość ich zawodu, skreślił w porywający sposób prawdziwą mądrość, a końcowym obrazem Nibanu wprowadził w zachwyt zgromadzenie wywołując łzy rozczylenia. Był to prawdziwy tryumf dla mowy.

Orszak w tym samym porządku opuścił salę i zwiększony tłumem przybyłych z miasta, skie-

*) *areck* orzech rosnący na drzewie *areca-catechu* z grupy palmowych, który z liściem *betelu* żyją mieszkańcy.

rował się do pagody znajdującej się za klasztorem w tej części parku, gdzie duży obszar odsłonięty roztaczał się przed okiem. W środku placu wznosiła się bogata budowa z kopułą i minaretem, otoczona małymi pagodkami w kształcie dzwonu lub jaja; wzór nagrobków przyjętych w budaizmie. W Birmanji gdzie relikwie są wielce czczone, obchodzą z niesłychaną pompą ceremonie pogrzebowe księży, umierających w stanie błogosławionym. Ciało ich zabalsamowane stoi kilka dni wystawione, poczem złożone zostaje do bogatej trumny aż do czasu kanonizacji, i rzadko by się nie znalazł pobożny fundator i nie kazał swoim kosztem wystawić jednej z takich pogód na przyjęcie grobowca z popiołami zmarłego.

Patryarcha wysiadł z lektyki i udał się do świątyni w rodzaju sklepionej rotundy z wizerunkiem Gautamy, i uklękawszy zmówił cichą modlitwę, poczem ucałował stopnie pomnika i udał się do dalszych pagód a w jego ślady ludność rzuciła się całując miejsce które opuścił i składając przyniesione ofiary z owoców, kwiatów, materji, zwierzyny i prowiątów. Po ukończonym obchodzie prowincjał wsiadł do lektyki, a wtedy mężczyźni, kobiety i dzieci pospieszili za nim usiłując dotknąć się chociażby końca jego szaty i ucałować ręce, które podawał przez otwory w drzwiczkach. Orszak ruszył w stronę klasztoru a gdy znikł na zakręcie, kilku mowców wystąpiło z tłumu i z wysokości balustrad okalających pomniki, poczęli w jaskrawych słowach przedstawiać szczęście, jakim napawa dobroczynność, i nagrody czekające za grobem tych, co za życia pełnili miłosierdzie.

Nad wieczorem uroczystość religijna zamieniła się w zabawę ludową. Kupcy rozstawili swoje budy wypełnione dzwonekami, petardami, lampkami papierowymi, zaopatrzone w chorągwie i dziwaczne figury wyobrażające złych duchów, lub w taczkach rozwozili owoce, ciasta, sorbety i tym podobne przysmaki. Zabawiano się w kręgle, grano w kości, piłki i wolanty, z nadchodzącą nocą rozkupiono przybory iluminacyjne, pozaświecano lampki zawieszając je na pagodach, chorągwie rozłożono i palono djabłów wysadzając ich petardami w powietrze, poczem gromadnie poczęto się rozchodzić do domu. Swobodna wesołość jest cechą takich zabaw ludowych, które kończą się tu zawsze bez krzyków, kłótni i bijatyk, ponieważ nie ma pijanych.

Chciałem osobiście doglądać przygotowań do podróży i zaraz z rana na drugi dzień udałem się do mojej łodzi z Józefem i Longlé. Wiosłarze byli w pogotowiu i nic niespodziewanego nie zaszło w czasie mego pobytu w kyungu. Posiliwszy się zatem na prędce skromnym śniadaniem, gotowałem się wyjść na targ w celu zakupienia prowizji na dalszą podróż, kiedy ludzie z klasztoru uchylając się pod ciężarem tłumoków złożyli mi zapas wszelkiej żywności. Daremnie usiłowałem wcisnąć im wynagrodzenie za fatygę, nic przyjąć nie chcieli.

Około południa wróciłem do kyungu; braciszek oznajmił mi, że już przygotowano dla mnie wozy do przewiezienia rzeczy i że prowincjał prosił bardzo, bym mu poświęcił część wieczora.

Ostatnie nasze widzenie było pełne wylania. Siedliśmy we dwóch do objadu; wikarjusze przysłali mi już tylko swoje ukłony i wyrazy przyjaźni.

— Chciałem ci Booghuy okazać moją gorliwość w zachowaniu twych przepisów i dziś jeszcze przełamuję regułę jedząc wieczrę. Tyś

mię uzdrowił i nie wiem doprawdy czem ci mogę usłużyć.

— Dajmy tej materji pokój szanowny Phra, twoja łaskawość i względy więcej mi przynoszą zaszczytu, niżli sobie na to zasłużył.

Nadszedł czas rozstania; prowincjał zajęty jakąś myślą zdawał się wahać z wypowiedzeniem i szukał słów na jej oddanie.

— Booghuy — zawołał po chwili — nie będąc w stanie okazać ci w inny sposób mojej wdzięczności prosiłbym cię o jedną łaskę.

— Jaką? słucham cię ojeze.

— Hamuch! boję się twoich skrupułów i nie śmiem wypowiedzieć co mam na myśli.

— Więc coś bardzo strasznego?

— Jesteś tu obcy, daleko od twej ojczyzny, być może że masz skrytych nieprzyjaciół, chciałbym ci dać sposób któryby cię ochronił od niebezpieczeństwa, jeżeli byś przypadkiem stał się celem jakiej tajemnej machinacji. Daj mi słowo że nie odmówisz.

— Wątpisz o mnie Phra? — rzekłem wielce zaciekawiony,

Prowincjał odsłonił fałdy swego ubrania i zdjął z szyi symbol duchownej godności, wyhaftowany na szkarlatnym aksamicie, który w dniu wyświęcenia księży błyszczał na jego piersiach, i zawieszając mi go rzekł:

— Zachowaj to przez pamięć na mnie! Jako chrześcijanin wiem, że nie będziesz przywiązywał do niego żadnej wartości, ale w chwili niebezpieczeństwa odkryj ten talizman, a nikt się nie odważy podnieść ręki na ciebie.

Uściskałem zacnego starca, obiecując mu nosić dar jego na piersiach przez cały czas pobytu w Birmanji, i rozstałem się z nim obiecując wkrótce napisać.

W rzeczy samej talizman darowany mi przez Tsaya-dauh przyczynił się później do wyprowadzenia mnie z przykrego położenia w skutek zbuntowania się mojej załogi, kiedy opuszczałem Birmanję. Był to spisek ukartowany przez moich nieprzyjaciół, którzy wszelką siłą chcieli przeszkodzić mi w powrocie do Europy. Dopiero za pomocą władz angielskich mogłem wyjechać.

Stanąwszy w Mandelay, zawiadomiłem Tsayę i Ouonduka o moim powrocie, prosząc ostatniego by zechciał na drugi dzień rano mię odwiedzić, ponieważ miałem mu wiele ważnych rzeczy do udzielenia. W ten sposób byłem pewny, że każdego z dwóch dygnitarzy ujrzę osobno u siebie; księża zwykle rano spędzają w klasztorze i wychodzą dopiero od południa, nie było więc obawy by się moi goście spotkali.

Ouonduck pospieszył na moje wezwanie pełen grzeczności. Wręczyłem mu podarunek od patryarchy z Theybo co go wprawiło w zachwyt i wywołało powódź słów przyjaźnych. Po tym wstąpiłem do kwestji uprawy herbaty; rzecz wielkiej wagi dla niego. Zrobiłem niektóre uwagi względem ulepszenia robót, zarządu i podziału pól, robiąc mu nadzieję złotych zysków w jakieby mógł osiągnąć ze swoich plantacji, gdyby rząd birmański zdecydował się w końcu sprzyjać handlowym działaniom Francji. Radca z wielką przyjemnością słuchał tych szczegółów, ja zaś rozwijałem dalej moje poglądy.

— Polowałem na dzikie konie w miejscowości, która miała wiele podobieństwa z położeniem pańskich dóbr i zdaje mi się żebyś mógł podwoić swoje dochody poświęcając część przestrzni na chów koni. W krótkim czasie doszedłbyś pan do pięknej stadniny. W Rangun konie dobrze

placą, sam rząd birmański potrzebuje remont dla kawalerji, która jak na dziś, jest w nędznym stanie. Jednem słowem chodziło by tu jedynie o osobę drugą, pomocnika, zdolnego nadać tej sprawie dobry kierunek.

Ouonduck zamyślił się; rzecz którą mu wyłożyłem sprawiła na nim nie małe wrażenie, lecz nie odkrywając swoich zamiarów powiedział tylko, że weźmie na uwagę moje spostrzeżenia.

Przełożonego ujrzałem po południu u siebie. Też same niskie ukłony i podziękowania przy odbiorze daru od Tsaya-dauh. Zawiazała się rozmowa i z przedmiotu na przedmiot wszedłem na temat zdrowia prowincjała, odstawiając niepewny stan jego, mimo chwilowego polepszenia. — Zresztą — rzekłem sam patryarcha czuje bliski swój koniec i wszelkimi siłami stara się przysposobić następcę po sobie; wybór jego padł na jednego z wikarjuszy, Cambue — Tsayę, bardzo uczonego księdza i gorliwego wyznawcę, coż kiedy jego kompleksja jest silnie zachwiana zgryzotami serca i niszczone umartwieniami, tak że nie zdaje mi się by miał długie lata przed sobą. Tu rozpowiedziałem mu całą smutną historję dwóch kochanków, udając, że nie wiem zupełnie, by znał ten szczegół. W końcu dorzuciłem, że cesarz Mendoon — Mheng dałby piękny przykład wspólnałości, przebacząc tym nieszczęśliwym ofiarom miłości.

Tsaya zdawał się mało przywiązywać wagi do mego opowiadania i słuchał z dobrze udanem roztargnieniem; ztem wszystkiem mam przekonanie, że nie stracił jednego słówka z tego com mówił. Pożegnał mię bez wielkich oznak czułości, bo zimne jego usposobienie nie zapalało się zbyt łatwo. (C. d. n.)

Zemsta Górala.

Dziewczę się śmieje,
A wietrzyk wieje
I niesie w dal:
Echo jej śmiechu
W wonnym oddechu,
Wśród gór i hal..

Dziewczę żartuje,
Dziewczę nie czuje,
Ma w sercu lód;
A jej kochanka,
Opryszka Janka,
Pali ten chlód.

Dziewczę się śmieje
Góral szaleje...
W pół porwał ją;
I w morskie oko,
W przepaść głęboką
Rzuca się z nią.

Swem echem góry
Niosą ponury
Szum drzew, szmer fal...
A wietrzyk z cicha
Żali się, wzdycha,
Wśród wonnych hal.

Tajemnicza Wyspa

przez

JULJUSZA VERNE

przełożył z francuskiego J. Pł...

CZĘŚĆ TRZECIA.

T a j e m n i c a .

ROZDZIAŁ XV.

(Ciąg dalszy.)

(Przebudzenie się wulkanu. — Piękna pora roku. — Powrót do prac. — Wieczór 15 października. — Telegram. — Zapytanie. — Odpowiedź. — Odjazd do zagrody. — Bilecik. — Przedłużenie linii. — Wybrzeże bazaltowe. — Podczas przy-
pływu morza. — Podczas odpływu. — Pieczara. — Ołnie-
wające światło.)

Na znak dany przez inżyniera osadnicy zawiesili robotę i zeszli się, aby w milczeniu obserwowować szczyt góry Franklina.

Wulkan się więc przebudził i wyziewy przebiły warstwę mineralną nagromadzoną w głębi krateru. Czy jednak te podziemne ognie wywołają jakiś gwałtowny wybuch? — oto była ostateczność nie do zaradzenia.

Jednakże nawet w razie wybuchu, prawdopodobnie nie cała wyspa Lincolna doznałaby jego skutków. Wylewy materij wulkanicznych nie zawsze bywają niszczące. Wyspa ta już raz przeniosła coś podobnego, jak świadczyły smugi zastygłej lawy na północnym spadku góry. Oprócz tego zaś, kształt krateru, zapadnięcie wyżłobione na wyższym jego kraju powinno było poprowadzić ognisty wylew w stronę przeciwną częściom żyznym wyspy.

Z drugiej strony jednakże przeszłość nie poręczała stanowczo za przyszłość. Nieraz bowiem na szczycie wulkanów dawne kratery się zamykają a nowe stają otworem. Przypadek ten zdarzył się w obu światach, na Etnie, na Popocatepetl, na Orizabie, — a w przededniu wybuchu wszystkiego obawiać się można. Ostatecznie bowiem wystarczyłoby trzęsienia ziemi, zjawiska towarzyszącego czasami wybuchom wulkanicznym, do zmodyfikowania wewnętrznego układu góry i otwarcia nowych dróg dla wracej lawy.

Cyrus Smith wytłumaczył te rzeczy towarzyszącym i nie przesadzając trudności położenia, zapoznał ich jednak z przychylnymi i wrogimi w takim razie okolicznościami.

Tak jednak czy owak, nie było żadnej rady. Pałac Granitowy nie zdawał się zagrożonym, chyba w razie trzęsienia ziemi, któreby zachwiało wyspą z gruntu. Ale o zagrodę należało się obawiać, w razie gdyby jakiś nowy krater otworzył się od południowej strony góry Franklina.

Od tego dnia wyziewy nie przestawały tworzyć pióropusza u szczytu góry Franklina, i rozpoznać nawet można było, że rosły wciąż na wysokość i szerokość, nie zdradzając jednak dotąd najmniejszego płomienia w swoich kłębach.

Całe to zjawisko ogniskowało się dotychczas w niższej części głównego komina.

Wśród tego jednak, za nadejściem pięknych dni, zabrano się na nowo do robót. Pospiesznie szła budowa statku, tembardziej że udało się Cyrusowi Smithowi przy pomocy katarakty utworzyć hydrauliczny tartak, dzielący pnie o wiele prędzej na deski i belki. Mechanizm tego przyrządu był tak prosty, jak używany zwyczajnie w wiejskich tartakach Norwegji. Nadać ruch pionowy sztuce drzewa a ruch poziomy pile — oto było całe zadanie, które inżynier rozwiązał

przez użycie koła, dwóch cylindrów i bloków odpowiednio ustawionych.

Przy końcu września skielet okrętu, mającego być goeletą, wznosił się już na przestrzeni warstwu. Założenie listew ukończono prawie w zupełności, tak że można już było ocenić kształty przyszłego statku. Goeletta ta, wysmukła od przodu, swobodna i lekka w tylnych częściach, mogła się widocznie nadać do dosyć dalekiej wyprawy w razie potrzeby; ale założenie pomostów i pokładów, odyłowanie i wylanie smołą wnętrza i pokładu dużo jeszcze wymagało czasu. Na wielkie szczęście, ocalono wszystko żelaziwo brygu po wysadzeniu go podmorskim w powietrze. Z uszkodzonych listew i belk Pencroff i Ayrton powyciągali śruby i wielką mnogość mosiężnych gwoździ. Okoliczność ta oszczędzała pracy i czasu kowalom, ale cieślom zostawało jeszcze huk roboty.

Musiano jednak i tę pracę przerwać na tydzień dla żniw, sianokosów i zwózki zbiorów, w które obfitowała Wielka Terasa. Ale po ukończeniu tego, wszystkie chwile poświęcono już wyłącznie golecie.

Przy zbliżaniu się nocy pracownicy uczuli prawdziwe wycieńczenie sił. Ażeby nie marnować czasu, zmienili godziny posiłku: objadowali o dwunastej, a wieczerzę jadałi dopiero, gdy się całkiem ściemniło. Wówczas powracali do Granitowego Pałacu i spieszyli się, aby jak najprędzej użyć spoczynku.

Niekiedy jednak rozmowa, jeżeli przedmiot jej żywo interesował, opóźniała nieco godzinę snu. Osadnicy puszczali się na tworzenie planów przyszłości i chętnie zastanawiali się nad zmianami, które mogła wywołać w ich położeniu, wyprawa goeletą do najbliższych lądów. Po nad temi wszystkimi projektami jednakże, panowała zawsze myśl ostatecznego powrotu na wyspę Lincolna. Nie przyszło im nigdy do głowy opuścić całkiem tę osadę, ugruntowaną z takim trudem i powodzeniem a której komunikacja z Ameryką nadałaby nowy rozwój.

Pencroff i Nab wyrażali nadzieję skończenia na niej dni swoich.

— Harbercie — odzywał się nieraz marynarz — nie opuścisz nigdy wyspy Lincolna?

— Nigdy, Pencroffie, szczególnie jeżeli i ty postanowisz pozostać na niej.

— Co? postanowię? już dawno postanowiłem, mój chłopcze — odpowiadał Pencroff. Zaczekam tu na ciebie. Sprowadzisz tu swoją żonę i dzieci a ja z malców twoich tęgich wyrobię zuchów!

— No, a więc to już rzecz postanowiona — kończył Harbert śmiejąc się i rumieniąc zarazem.

— A pan, panie Cyrusie, — ciągnął dalej Pencroff porwany zapałem. — Pan pozostaniesz rządcą wyspy... He!.. a ile by też ona mogła żywić mieszkańców? Co najmniej dziesięć tysięcy!

Takie to brzmiały rozmowy; nikt nie powstrzymywał Pencroffa i od słowa do słowa kończyło się na tem, że korespondent zakładał na wyspie dziennik „New Lincoln Herald!“

Takie to już serce człowieka. Potrzeba zbudowania trwałego dzieła, dzieła któreby go przeżyło, to oznaka wyższości jego nad wszystkim, co żyje na tej ziemi. Ona to ugruntowała jego panowanie i usprawiedliwia je na świecie całym.

Zresztą kto wie, czy Jow i Top, nie mieli także swoich planików przyszłości?

Ayrton pogrążony w milczeniu, myślał, że

radby ujrzeć jeszcze lorda Glenarvana i zjawić się przed wszystkimi — zrehabilitowanym.

Pewnego wieczora, 15 października, rozmowa bujająca wśród powyższych hipotez, przedłużyła się nad zwykłą miarę. Dziewiąta już wybiła... Już przeciągłe, źle ukryte poziewania wskazywały godzinę spoczynku i Pencroff szedł do swego łóżka, gdy nagle młotek elektryczny umieszczony w sali zabrział ostrym dźwiękiem.

Wszyscy znajdowali się w miejscu: Cyrus Smith, Gedeon Spilett, Harbert, Pencroff, Ayrton, Nab. Nikogo z osadników nie było w zagrodzie.

Cyrus Smith powstał. Towarzysze jego oglądali po sobie, sądząc że omyliło ich ucho.

— Co to ma znaczyć? — wykrzyknął Nab — chyba djabeł dzwoni?

Nikt na to nie odpowiedział.

— Czas jest burzliwy — zauważył Harbert — Czyżby więc wpływ elektryczności nie mógł?..

Urwał i nie skończył. Inżynier, ku któremu zwróciły się oczy wszystkich, potrząsnął przecząco głową.

— Czekajmy, — ozwał się wówczas Gedeon Spilett. Jeżeli to sygnał, ten co go wydał, znowu powtórzy!

— Ale któż pan chcesz, żeby to był? — zawołał Nab.

— Ba! — odparł Pencroff — ten co...

W tej chwili słowa jego przeciął nowy odgłos dzwonka i wibracja młotka.

Cyrus Smith podszedł do aparatu telegraficznego i puściwszy prąd po drucie, posłał do zagrody następujące zapytanie:

— O co chodzi?

W kilka chwil wskazówka obracająca się na tarczy z alfabetem, następującą odpowiedź składała mieszkańcom pałacu Granitowego:

— „Spieszcie co tchu do zagrody...“

— Nakoniec!.. — zawołał Cyrus Smith.

O tak, nakoniec!.. Nakoniec tajemnica miała się odsłonić. Wobec tego niezmiernego interesu, który ich pociągał do zagrody, całe znużenie osadników gdzieś znikło, z potrzeby odpoczynku nie zostało ani śladu. Nie wymieniwszy ani słowa, w kilka chwil opuścili Pałac Granitowy i wnet znaleźli się na wybrzeżu. Tylko Jow i Top zostali w domu. Mogło się bez nich obyć.

Noc była czarna. Księżyc, właśnie w tym dniu na młodziku, zniknął wraz ze słońcem. Jak to zauważył Harbert, olbrzymie burzliwe chmury utworzyły rodzaj niskiego a ciężkiego sklepienia, nieprzepuszczającego najmniejszego promyka od gwiazd. Kilka błyskawic pochodzących ze skwaru i dalekiej jakiejś burzy oświetlało od chwili do chwili widnokrąg.

Bardzo być mogło, że za kilka godzin, piorun zahuczy nad samą wyspą. Była to noc groźna.

Ale ciemność, choćby najgłębsza nie mogła powstrzymać ludzi przywykłych do tej drogi do zagrody. Przeszli na lewe wybrzeże „Dziękczynnej“ doszli do Terasy, przebyli most potoku Glicerynowego i ruszyli dalej lasem.

Szli dobrym krokiem, mocnym wzruszeniem przejęci. Nie ulegało już najmniejszej wątpliwości, że mieli wreszcie poznać owo tak poszukiwane rozwiązanie zagadki, imię owej tajemniczej istoty, co tak głęboko weszła w ich życie, tak wspaniale z nimi postępowała, tak potężnie działała! Czyż bowiem w istocie ów nieznanomy nie musiał niejako żyć z nimi wspólnie, aby znać

tak wybornie do najdrobniejszych szczegółów ich potrzeby, słyszeć co się mówiło i występować zawsze w najważniejszej chwili.

Wszyscy pogrążeni w myślach przyspieszali kroku.

Pod tem sklepieniem z drzew, ciemność panowała taka, że nie było widać nawet kraju drogi. Zresztą najmniejszego szmeru nigdzie w lesie. Czworonogi i ptactwo pod wpływem ciężkiej atmosfery pochowały się bez ruchu i głosu. Najłżejsze tchnienie nie wzruszało liści. Jedynie tylko kroki osadników odrzmiewały w ciemnościach po stwardniałej ziemi.

Milczenie panujące przez pierwszy kwadrans drogi przerwała jedynie następująca uwaga Pencroffa:

— Należało wziąć z sobą latarnię.

I ta odpowiedź inżyniera:

— Znajdziemy inną w zagrodzie.

Cyrus Smith i towarzysze opuścili Pałac Granitowy o dziewiątej i minut dwanaście. O dziewiątej i minut czterdzieści siedm przebyli już przestrzeń trzech mil na pięć oddzielających ujście Dziękczynnej od zagrody.

W tej chwili, olbrzymie, białawe błyskawice zajaśniały nad wyspą, i zarysowały na czarno koronkę liści. Te potężne błyski olśniewały i zamiewały wzrok. Burza widocznie wkrótce miała się rozhulać. Błyskawice robiły się coraz szybsze i jaskrawsze. Daleki grzmot huczał w głębokościach nieba. Atmosfera stawała się duszącą.

Osadnicy szli naprzód, jakby popychani jakąś nieodpartą siłą.

O kwadrans na dziesiątą, jaskrawa błyskawica pokazała im tuż ogrodzenie ostrokołowe zagrody—a zaledwo weszli w bramę, piorun zahuczał ze straszliwą potęgą.

W mgnieniu oka przebiegli podwórzec zagrody, i znaleźli się przed domem mieszkalnym.

Prawdopodobnie musiał się tu znajdować nieznajomy, ponieważ telegram mógł być ztąd tylko wysłany. Żadne światło jednak nie pobłyskiwało z okien.

Inżynier zastukał do drzwi.

Nie było odpowiedzi.

Wówczas Cyrus Smith otworzył drzwi i osadnicy weszli do pokoju, pokrytego w tej chwili głębokim mrokiem.

Nab skrzesał ognia, i za chwilę potem zapalona latarnia przesuwała się już po wszystkich zakątkach pokoju...

Nigdzie nie było nikogo... Każda rzecz znajdowała się w tym stanie, w jakim ją ostatni raz pozostawiono.

— Byliżbyśmy ofiarą uludy? — szepnął Cyrus Smith.

Nie!... To być nie mogło!... Telegram brzmiał przecież wyraźnie:

— Spieszcie co tchu do zagrody!

Przybliżyli się wszyscy do stołu, na którym był umieszczony aparat i wszystko co do niego należało. Wszystko leżało na miejscu, stos i skrzynia w której się mieścił, jak również przyrząd odbierający i przesyłający depesze.

— Kto tu był ostatnim razem? — spytał inżynier.

— Ja, panie Smith — odrzekł Ayrton...

— A to było?...

— Przed czterema dniami...

— Ah!... Zapiska!... zawołał Harbert, wskazując jakiś papier leżący na stole.

Na tym papierze stały następujące słowa, w języku angielskim:

T. III. N. 21.

„Idźcie w ślad za nowym drutem.“

— W drogę!... zawołał Cyrus Smith, pojąwszy że depeszę wysłano nie z zagrody, ale z tajemniczego schronienia, które drut dodatkowy, przyczepiony do dawnego, łączył bezpośrednio z Pałacem Granitowym.

Nab pochwyił za zapaloną latarnię i wszyscy opuścili zagrodę.

Burza właśnie rozhukała się z niezmierną gwałtownością; przerwa dzieląca błyskawicę od uderzenia piorunu zmniejszała się coraz widoczniej. Huragan miał zapanować wkrótce nad górą Franklina i całą wyspą. Przy świetle powtarzających się błyskawic widać było szczyt wulkanu dymiący całymi kłębami.

W całej tej części zagrody, która się rozciągała pomiędzy domem a ostrokołem nie było nigdzie śladu komunikacji telegraficznej. Ale, skoro wyszli za bramę, inżynier przybiegłszy prosto do pierwszego słupa, postrzegł przy świetle błyskawicy nowy drut ciągnący się od izolatora do ziemi...

— Oto jest! — zawołał.

Drut ten ciągnął się po ziemi, ale w całej długości swojej otoczony był substancją odosabiającą, jak telegraf podmorski, co zapewniało przejście prądu. Kierunek jego zdał się dążyć przez lasy i południową część góry — a więc ku zachodowi...

— Idźmy za nim! — rzekł Cyrus Smith.

I częścią przy świetle latarni, częścią przy odbłyśkach piorunu, posuwali się osadnicy drogą przez drut wskazaną.

W tej chwili grzmot piorunu dawał się słyszeć bez przerwy, a natężenie jego było tak wielkie, że nie można było słowa wymienić pomiędzy sobą. Zresztą nie szło tu o gadaninę, ale o posuwanie się naprzód.

Cyrus Smith i towarzysze weszli naprzód na ścianę góry, wznoszącą się pomiędzy doliną zagrody a doliną potoku Katarakty, którą przebyli w punkcie najwyższym. Drut, bądźto wyciągnięty na niskich gałęziach drzew, bądź też wlokący się po ziemi, prowadził ich wiernie.

Inżynier sądził, że ta metaliczna nić zatrzyma się gdzie w głębi doliny, i że tam znajdzie się schronienie nieznajomego.

Ale nic podobnego się nie stało. Trzeba było wejść na południowo-zachodnią ścianę góry, a następnie spuścić się na ową bezpłodną terasę, którą zamykał mur z bazaltów nagromadzonych w tak osobliwy sposób

Od czasu do czasu, jeden lub drugi z osadników schylał się, macał ręką drut i wskazywał kierunek drogi. Nie ulegało już jednak wątpliwości, że drut ten zmierzał prosto ku morzu. Tam zapewne, w głębi jakichś wulkanicznych skalisk, znajdowało się owo schronienie, tak na próżno dotychczas poszukiwane.

Niebo stało całe w ogniu. Błyskawica wyprzedzała błyskawicę. Mnóstwo ciosów piorunu uderzało w szczyt wulkanu i wpadało w krater wśród gęstych kłębów dymu. Chwilami można było sądzić, że góra bucha płomieniem.

Na kilka minut przed dziesiątą przybyli osadnicy do położonego wysoko krańca góry, panującego nad Oceanem od zachodu. Wiatr się zbudził... Fala ryczała o pięćset stóp poniżej.

Cyrus Smith obliczył, że on i towarzysze uszli około mili i pół od zagrody.

W tem miejscu, drut zapuszczał się pomiędzy skały, schodząc po dosyć stromej pochyłości wąskim i kapryśnie zarysowanym wąwozem.

Osadnicy zapuścili się w ślad za nim, narażając się na wywołanie jakiego obsypu skał, stojących nad nimi w niepewnej równowadze i na strącenie w morze. Schodzenie przedstawiało niezmiernie niebezpieczeństwo, ale osadnicy nasi już stracili wszelką na to uwagę, przestali być panami siebie, nieodparta siła ciągnęła ich ku owemu tajemniczemu celowi, jak magnes żelazo.

To też jakby nieświadomie, zeszli w ów wąwóz, który nawet przy najjaśniejszym dniu był prawie nie do przebycia. Kamienie toczyły się i rzucały błyski jak rozpalone bolidy, gdy wpadły w promień błyskawicowego światła. Cyrus Smith szedł na czele. Ayrton zamykał pochód. W jednym miejscu ledwo mogli postępować krok za krokiem, gdzieindziej znowu ześlizgiwali się bez tchu z gładkiej skały, podnosili się i szli dalej.

Nakoniec, drut gwałtownie skręcił i dotknął do skał nadbrzeżnych, stanowiących prawdziwy stos raf, o który fale przyływu, musiały się rozbijać. Osadnicy doszli do najniższego krańca bazaltowego muru. Tu rozwinęło się przed nimi małe rozgałęzienie góry, zniżające się horyzontalnie i równoległe do morza. Drut ciągnął się wzdłuż niego — osadnicy poszli za drutem. Tak uszli zaledwie sto kroków, gdy rozgałęzienie, zniżyło się po umiarkowanej pochyłości aż do samego poziomu morza.

Inżynier pochwyił za drut i postrzegł, że zagłębia się w morzu.

Towarzysze, stojący przy nim, osłupieli.

Okrzyk ciężkiego zawodu, prawie krzyk rozpaczny wydarł im się z piersi. Trzebaż więc było rzucić się w fale i w nich szukać jakiejś podmorskiej jaskini?

W stanie podbudzenia moralnego i fizycznego, w jakim się znajdowali, uczyniliby to bez wahania.

Jedno słowo inżyniera ich powstrzymało.

Cyrus Smith powiódł towarzyszy w zagłębienie pomiędzy skałami, a gdy tam stanęli:

— Zaczekajmy,—rzekł.— Teraz trwa przyływ. Skoro nadejdzie odpływ, droga się otworzy.

— Cóż jednak pozwala panu wierzyć...? spytał Pencroff.

— On nie byłby nas wezwał, gdyby miało zabraknąć środków dostania się do niego.

Cyrus Smith wypowiedział to z takim akcentem silnego przekonania, że nikt nie odważył się zaprotestować. Zresztą uwaga jego była wielce loiczną. Należało przypuszczać, że u stóp muru znajdował się otwór, dostępny w czasie odpływu, choć obecnie zalany przez fale.

Szło więc tylko o kilka godzin cierpliwości. Osadnicy przesiedzieli je w milczeniu, ściśnięci w kupkę i ukryci pod rodzajem portyku, wyłobionego w skale. Deszcz zaczął tymczasem padać — i wkrótce chmury rozdarły gromami, zamieniły się w istne spadające potoki. Echa powtarzały huk piorunu i nadawały mu majestatyczny rozdźwięk.

Wzruszenie osadników dochodziło do najwyższego stopnia. Tysiące myśli dziwnych, nadprzyrodzonych przechodziło im przez głowę, wywołując jakieś nadludzkie zjawisko, które jedynie mogło odpowiedzieć wyobrażeniu, jakie sobie wyrobili o genjuszu wyspy.

O północy Cyrus Smith, zabrawszy z sobą latarnię, zszedł aż nad samo morze, dla rozpatrzenia się w położeniu skał. Już od dwóch godzin odpływ się zaczął.

Poprzedni domysł nie omylił inżyniera.

Sklepienie jakiegoś obszernego wydrążenia poczęło się zarysowywać nad wodą. Drut skracając pod kątem prostym, zagłębiał się w tę ziejącą paszczę. Cyrus Smith powrócił do towarzyszy i rzekł im z prostotą:

— Za godzinę można będzie wejść w otwór...

— A więc istnieje?.. spytał Pencroff.

— Czyżście wątpili o tem? — odparł Cyrus Smith.

— Ależ ta pieczara będzie napełniona wodą, do pewnej wysokości — zauważył Harbert.

— Albo osycha w zupełności — odrzekł Cyrus Smith — i w takim razie przebedziemy ją piechotą, — albo nie osycha, a wtedy niezawodnie znajdzie się jakiś środek transportu do naszego rozporządzenia.

Minęła godzina. Zeszli wszyscy po ulewnym deszczu nad samo morze. W trzy godziny poziom wód się zniżył o stóp piętnaście. Szczyt łuku zakreślonego przez sklepienie pieczary wznosił się nad poziomem fal co najmniej na stóp osiem.

Była to jakby arkada mostu, pod którą przechodziły wody, zmieszane z pianą.

Schyliwszy się, postrzegł inżynier jakiś czarny przedmiot, unoszący się na powierzchni morza i przyciągnął go do siebie.

Była to łódź, przywiązana na linie do jakiegoś wewnętrznego punktu. Łódź ta była z blachy żelaznej nitowanej. Dwa wiosła leżały w jej głębi, pod ławkami.

— Wsiadajmy — rzekł Cyrus Smith.

Za chwilę osadnicy, siedzieli już w łodzi. Nab i Ayrton wzięli się do wiosel, Pencroff usiadł u steru; Cyrus Smith na przodzie, oparłszy latarnię o kraj łodzi, oświecał drogę.

Sklepienie, z początku bardzo szerokie, gdy łódź się pod nie wsunęła, poczęło się nagle podnosić, ale ciemność okolna była zbyt głęboka a światło latarni nadto niedostateczne, ażeby podobna było poznać obszar tej pieczary, jej szerokość, wysokość i głębokość. W pośród tej budowli bazaltowej panowało imponujące milczenie. Żaden szelest z zewnątrz tu nie przenikał i nawet huk piorunów nie mógł się przedrzeć przez masywne te ściany.

W niektórych częściach globu istnieją takie niezmiernie pieczary, rodzaj naturalnych krypt, datujących się od swojej epoki geologicznej. Jedne zalane są wodami morza, inne zamykają w łonie swoim całe jeziora. Taką jest grota Fingala na wyspie Staffa, jednej z Hebrydów; takie groty Morgat nad zatoką Douarnesek w Bretanii; groty Bonifacio w Korsyce, Lyse-Fiord w Norwegii; taką samą niezmierną pieczarą Mammuta w Kentucky, wysoka na pięćset stóp a długa przeszło mil dwadzieścia! W wielu punktach ziemi przyroda wyłobowała takie krypty i zachowała je ku podziwieniu ludzi.

Co do pieczary, którą osadnicy właśnie badali, ciągnęła się ona aż do środka wyspy. Od kwadransa łódź posuwała się naprzód wykonując zakręty, które inżynier wskazywał Pencroffowi tonem urywanym.

Naraz zawołał:

— Więcej na prawo!

Statek zmienił kierunek i podsunął się pod prawą ścianę pieczary. Inżynier pragnął słusznie przekonać się, czy drut ciągnął się wciąż jeszcze wzdłuż tej ściany.

Był tam istotnie, przyczepiony do występujących skał,

— Naprzód! — ozwał się Cyrus Smith.

I obadwa wiosła, zanurzając się naraz w czarnych toniach, uniosły łódź.

Tak płynęli jeszcze około kwadransa i od wejścia do pieczary musieli już upłynąć z pół mili, gdy naraz głos Cyrusa Smitha dał się słyszeć znowu.

— Stójcie! — zawołał.

Łódź się zatrzymała i osadnicy spostrzegli żywe światło oblewające olbrzymią kryptę, tak głęboko wyłobioną we wnętrzościach ziemi.

Wysoko na sto stóp zaokrągliło się sklepienie, unoszone na słupach bazaltowych, które zdały się być wszystkie odlane z jednej formy. Nieregularne stoczystości kapryśnie zarysowane żebra wspierały się na tych kolumnach, wzniesionych tysiącami przez naturę w pierwszych epokach formacji globu. Odłamki bazaltowe, osadzone jeden w drugi, miały wysokości od czterdziestu do pięćdziesięciu stóp, a woda spokojna pomimo wzburzenia panującego na zewnątrz, obmywała ich stopy. Blask ogniska świetlnego, na które wskazał inżynier, chwytając za każdy kąt pryzmatyczny i przebijając go swemi ostrzami z płomieni, przenikał, rzec można ściany, jak gdyby były przejrzyste i zamieniał w lśniące nieszlifowane klejnoty wszystkie wydatności tej budowli.

Na podstawie znanego fenomenu odbicia, woda odtwarzała na swojej powierzchni te różnorodne blaski, tak iż łódź zdawała się pławić pomiędzy dwiema jaśniejącymi płaszczyznami.

Niepodobna było się mylić co do natury promieniowania wydzielanego przez to ognisko świetne, którego promienie ostre i z linii prostych złożone łamały się o każdy kąt ściany, o każde żebro olbrzymiej krypty. Światło to pochodziło z elektrycznego źródła, i już sam biały kolor jego dostatecznie o tem przekonywał. Było to słońce tej pieczary, napełniające ją całą.

Na znak Cyrusa Smitha opadły wiosła, wywołując wytrysk istnej ulewy djamentów i łódź skierowała się ku ognisku świetlnemu, od którego wkrótce znalazła się nie dalej jak o sześćdziesiąt sążni.

W tem miejscu szerokość wodnej płaszczyzny wynosiła około trzystu pięćdziesięciu stóp, i można już było dojrzeć, po za olśniewającym ogniskiem olbrzymi mur bazaltowy zamykający wszelkie wyjście z tamtej strony. Pieczara rozszerzyła się więc znacznie i morze utworzyło w niej rodzaj małego jeziora. A sklepienie, ściany boczne, wszystkie te pryzmy, wszystkie cylindry, wszystkie stożki pławiły się w świetle elektrycznym do tego stopnia, iż ten blask zapożyczony zdał się być ich własnym i rzekłbyś, że te kamienie rżnięte w ścianki, jak wielkiej ceny djamenty, światłem się poca.

W samym środku jeziora jakiś długi przedmiot wrzecionowatego kształtu unosił się na powierzchni wód owiany milczeniem, nieruchomy. Blask, wychodzący zeń, wybuchał z boków jego jak z dwóch paszczy hutniczego pieca, rozpalonych do białości. Przyrząd ten, podobny do niezmiernego wieloryba, miał długości około dwustu pięćdziesięciu stóp a wznosił się od dziesięciu do dwunastu stóp nad poziomem morza.

Łódź zbliżyła się doń powoli. Stojący na przodzie Cyrus Smith, powstał i patrzył, ulegając gwałtownemu wzruszeniu. Nagle obrócił się i chwytając korespondenta za ramię:

— Ależ to on!... — zawołał. — Nikt inny tylko on!... On!...

I upadł na ławkę, wymawiając szeptem

jakieś nazwisko, które tylko Gedeon Spilett usłyszał.

Niewątpliwie i korespondent znalazł to nazwisko, bo sprawiło ono na nim zadziwiające wrażenie, i przytłumionym głosem odpowiedział:

— On!... Wywołaniec!...

— Tak to on!... — odrzekł Cyrus Smith.

Na rozkaz inżyniera, łódź zbliżyła się do tego osobliwego pływającego przyrządu, i przybiła do lewego jego boku z którego wytryskał strop światła przez grubą szybę.

Cyrus Smith i towarzysze weszli na platformę. Przed nimi była otwarta na oścież kłapa. Rzucili się wszyscy w ten otwór.

U spodu drabinki otwierał się kurytarz wewnętrzny w kierunku całej długości przyrządu oświetlony elektrycznie. U jego końca znajdowały się drzwi, które Cyrus Smith otworzył.

Sala zdobna bogato, którą osadnicy spiesźnie przebiegli, dotykała do biblioteki, której sufit świetlisty wylewał potoki jasności.

W głębi biblioteki szerokie podwoje, zamknięte również, ustąpiły pod ręką inżyniera.

Obszerna sala, rodzaj muzeum w którym się tłoczyły obok skarbów natury mineralnej, dzieła sztuki i cuda przemysłu, przedstawiła się oczom osadników, sądzących, iż ich ktoś przeniósł czarodziejsko w świat sennych marzeń.

Tu ujrzeni na bogatej sofie leżącego człowieka, który zdał się nie postrzegać ich obecności.

Wówczas Cyrus podniósł głos i ku niestychanemu zdziwieniu towarzyszy wyrzekł te słowa:

— Kapitanie Nemo, wezwałeś nas? Oto jesteśmy. (C. d. n.)

Tak być musiało.

Powieść.

Napisał

JÓZEF ROGOSZ.

(Ciąg dalszy.)

IX.

Niech to nie dziwi czytelnika, że przy panu Olpińskim, mimo że w naszym opowiadaniu nie odgrywa on głównej roli, zatrzymaliśmy się tak długo, przytaczając epizody nie zostające z dalszym biegiem rzeczy w związku bezpośrednim. Postacie jak ta, zaczynają już należeć do historii. Chociaż gdzieś niedługo pojawi się jeszcze jaki oryginał, ogół nie podpatruje go, nie bada, często nawet nie wierzy że istnieje. Wskutek coraz większego rozrostu jednolitej cywilizacji, świat przybiera formy tak ogólne, że cokolwiek do nich się nie nagina, jest w jego oczach dziwactwem, które na uwagę nie zasługuje. Jak feudalna szlachta francuska podczas wielkiej Rewolucji dawała się zabijać chłopom dla tego tylko, że *dobry ton* nie pozwalał jej zniżać się do obrony przeciwko zgrai pospólstwa, tak kupieckie społeczeństwo naszych czasów uważałoby za marną stratę czasu przypatrywać się jednostkom mającym inny pogląd na ludzi i rzeczy, a za niedorzeczność cenić je chociażby nawet na to zasługiwały. Dziś każdy oryginał jest tylko śmiesznym i to wystarcza. Na sąd więcej szczegółowy żaden z nich nie zasługuje.

Zresztą nie da się i to zaprzeczyć, że figur jak hrabia Olpiński już coraz mniej. Było ich dużo u schyłku ubiegłego i na początku bieżącego stulecia, bo największe dziwactwa psychiczne po-

jawiają się tylko wśród wielkich fermentów psychicznych — ale dziś gdy duch ludzki na pozór dość spokojnym płynie korytem, charakter wyrabiają się mniej więcej na jedną modłę, i ztąd pochodzi, że rozglądając się dokoła nie widzimy ani wielkich potęg ducha, ani wielkich jego aberacji.

Ferment z r. 1848 wydał u nas ostatnich oryginałów i do nich należał hr. Eustachy Olpiński.

Hermina bawiła kilka dni w mieście, co hrabiego zaczęło już niecierpliwic, bo mając czas przywyknął do pięknej siostrzenicy potrzebował jej towarzystwa. Nareszcie ósmego dnia po południu zajechał powóz, z którego wysiadła pani Hermina w towarzystwie jakiegoś mężczyzny.

Nowoprzybyły był niskiego wzrostu, okrągły, o rysach przypominających jeden z ludów małoazjatyckich, lecz nie Izraelski, z głową do kuli podobną. Trzymał się sztywnie, usiłując okazać się bardzo poważnym, i chodził prędko, rozstawiając nogi szeroko, co świadczyło o pewnych wadliwościach w jego organizmie.

Hrabia poznał go od pierwszego wejrzenia. Był to pan Marceł Tarczuk, nie tyle sławny, co głośny mecenas stolicy, który najchętniej zajmował się sprawami popularnymi i rozwodami. Głową miał nie tęgą, ale spryt niepospolity. Dzięki temu umiał się wkręcić do kilku instytucyj publicznych i zaskarbić sobie ogólne zaufanie. Płaszcząc się przed panami, a kokietując z ulicą, z której najpożywniejsze soki wysysał, służył pierwszym, udając że się poświęca dla drugich, i tak trzymał się na powierzchni, chociaż oddawna powinien był utonąć.

Wprawdzie ten i ów coś przebąkiwał, roztropniejsi odsuwali się nawet od niego, ogół jednak milczał, a mniej obznajomieni ze stosunkami miejskimi ufali mu nawet z zamkniętymi oczyma. Do ostatnich należała także pani Hermina, która dopiero od roku mieszkając w tej części kraju, zawierzywszy komuś na słowo, że p. Tarczuk jest bardzo znacnym obywatelem, oddała mu wszystkie swoje interesa. — Szanowny mecenas miał w swoim charakterze jeden rys, po którym można go było najłatwiej poznać. W oczy wszystkich chwalił, po za oczy wszystkich czernił. Ze szczególnym upodobaniem rzucał się na ludzi prawych, aby tem dać do myślenia, że na nim samym najmniejsza nie ciąży plama. Człowiek uczciwy jest pobłażliwy dla wszystkich — zły potępia najuczciwszych. Ilekroć spotkacie takiego, który przybierając minę katońską i z góry prosząc o tajemnicę, zaczyna potem robić zarzuty komuś z nieobecnych, spojrzycie tylko na twarz mówiącemu, a dowiecie się niewątpliwie, kto właściwie jest godnym pogardy — oskarżający czy oskarżany. Garbus śmieje się nawet z prostych i nazywa ich garbusami, myśląc że tem odwróci uwagę od swojej ułomności...

Hrabia musiał nie być zadowolonym z wizyty szanownego mecenasa, bo przywitawszy go bardzo zimno, i zamieniwszy z Herminą zaledwie kilka słów etykietałnych, natychmiast udał się do swojej pracowni. Tu zamknął się na dwa spusty, ale nie zasiadł do pisania. Z miną bardzo poważną zaczął chodzić po pokoju, mrużąc coś do siebie. Długo trwał ten monolog zanim hrabia stanął i niezważając, że go nikt nie słucha, głośno zawołał:

— Zobaczmy... zobaczmy! Czy on z nią czy ja sam!

Tymczasem pani Hermina zaprosiwszy mece-

nasa do swego gabinetu konferowała z nim całą godzinę, pokazując stosy najróżnorodniejszych papierów, które obrońca prawa uważnie przeglądał. Sprawa o której rozmawiali była widocznie bardzo ważna, bo ilekroć hrabina zapytała o zdanie swego doradcy, ten wpiersz zwieszał głowę, marszczył brwi, długo myślał, poczem zwykle cedził przez zęby:

— Da się zrobić pani hrabino, da się zrobić, ale wydatki, wielkie wydatki!

— Mniejsza o wydatki — odpowiadała Hermina — byle się raz skończyło.

Po wyczerpaniu wszystkich szczegółów, mecenas znowu się zamyślił, a potem wydał dolną wargę, poważnie oczy przymknął i rzekł spokojnie:

— Jak to dobrze pani hrabino, że sam tu przyjechałem... wszystkie te konferencje w moim biurze na nic się nie przydały. Dopiero te listy przekonały mnie ostatecznie, co zresztą dawniej już przypuszczałem, jak to zapewne pani hrabina łaskawie pamięta, że koniecznie trzeba będzie pojechać do Wiednia, a może i do Rzymu. Sprawa zawiła, bardzo zawiła, trzeba mieć za sobą nietylko władzę świecką lecz i duchowną... Przez te sądy i konsystorze wlokłoby się niesłychanie długo, a pani hrabinie zależy na szybkim rozstrzygnięciu. Czy tak?

— I bardzo nawet! Wyczekiwanie jest dla mnie zabójczem.

— Pojmuję to, pani hrabino, bardzo pojmuję, i sam na jej miejscu nie postąpiłbym inaczej. Żądanie słuszne, arcysprawiedliwe, i dla tego należy upierać się by jak najprędzej było wysłuchane. U wielkich ołtarzy da się załatwić, ale będzie kosztować, o będzie!

— A ile, jeżeli wolno wiedzieć?

Mecenas zaczął liczyć na palcach, przyczem machinalnie ustami poruszał.

— Najmniej pięć tysięcy — odrzekł po chwili; rzucając ukośne spojrzenie na klientkę, która siedziała z oczyma w stół utkwionemi.

— Pięć tysięcy? — powtórzyła Hermina — to w rzeczy samej suma bardzo poważna... Ale jeżeli ma się raz skończyć, chętnie ją ofiaruję.

— Skończy się pani hrabino, nie wątpię że się skończy... jeszcze w tym tygodniu pojedę. Pani hrabina raczy tylko łaskawie napisać na kartce, ot tak dla pamięci, że honorarjum za podróż w ilości pięciutysięcy będzie mi uiszczone w swoim czasie. Niech to panią hrabinę nie obraża, nie jest to brak ufności, broń Boże! Jąbym pani hrabinie nawet życie własne powierzył, ale tak dla pamięci. My sumienni stróże prawa...

— Dobrze, dobrze, panie mecenasie — odpowiedziała żywo młoda kobieta — dam ci zapewnienie, jakie zechcesz byleś raz skończył.

— Mam nadzieję, pani hrabino, mam niepłodną nadzieję.

Po otrzymaniu rewersu, który w mgnieniu oka był napisany, mecenas spojrzął na zegarek.

— Już szósta, jak to czas leci w tak miłym towarzystwie — rzekł z uśmiechem — za pół godziny odchodzi pociąg pospieszny.

— Jak to? pan się wybierasz? Przecie u nas przenocujesz? Z polskiego domu gość nigdy pod noc nie wyjeżdżał.

— Pani hrabina bardzo łaskawa — odrzekł mecenas po kilkakroć się kłaniając — i z największą przyjemnością korzystałbym z uprzejmego zaproszenia, gdyby nie okoliczność, że jutro rano o dziewiątej mam ważny termin w sądzie. Zastępuję pewną wdową, matkę sześciorga dzieci,

której mąż zginął w usługach pewnej fabryki. Nie uwierzyłaby pani hrabina jacy ci ludzie bezduszni! Fabrykant ma miliony, a biednej kobiecie nie chce dać grosza.

— Rzeczywiście, to niegodnie! Mecenas jednak masz nadzieję, że sąd przyzna słusność nieszczęśliwej?

— Jestem prawie pewny, że dostanie dziesięć tysięcy.

— Życzę więc powodzenia z całego serca i dłużej nie zatrzymuję — rzekła pani Hermina, gościowi rękę podając. — Gdy idzie o sprawę tak ważną, prawie świętą, wypada mi wyrzec się przyjemności widzenia kochanego mecenasa dłużej w Warnowcach. A więc do miłego widzenia! — dodała z uśmiechem czarującym.

— Czy pana hrabiego mógłbym pożegnać?

— Zapewne będzie u siebie. Mój wuj najchętniej przysiaduje w swojej pracowni. Do zobaczenia kochany mecenasie!

Pan Tarczuk skłoniwszy się kilkakrotnie wyszedł poważnie udając się do hrabiego. To co powiedział pani Herminie było prawdą. Proces nieszczęśliwej wdowy w rzeczy samej prowadził, i dzięki usilnym zabiegom osób wpływowych, których umiał użyć w tym celu, otrzymał od fabrykanta dziesięć tysięcy. Wprawdzie wdowie dostały się z tego tylko trzy tysiące, siedm bowiem zatrzymał adwokat przy sobie, jako wynagrodzenie za pracę i zwrot kosztów procesów — ale czy p. Tarczuk był winien, że tak wypadło? Przecie żaden adwokat nie prowadzi procesów za darmo.

Hrabia usłyszawszy w przedpokoju kroki wymierzone i ciężkie, tak odmienne od szybkich a lekkich kroków Michałka, jakby się spodziewał odwiedzin mecenasa szybko drzwi otworzył. Gdy wszedł pan Tarczuk, gospodarz natychmiast drzwi na klucz za nim zamknął, i nie prosząc go by usiadł, przyjął gościa w stojącej postawie. W pierwszej chwili, niezwykle to postępowanie tak zdziwiło, nawet zmieszalo adwokata, że jakiś czas nie mógł słowa przemówić.

Wreszcie odzyskując spokój rzekł:

— Przyszedłem pożegnać pana hrabiego, bo zaraz wracam do miasta.

— Bardzo mi miło, panie dobrodzieju, bardzo mi miło.. Ale jakże tam interesa — he?

Mecenas wahał się z odpowiedzią.

— Proszę, mów pan otwarcie, bardzo proszę. Przecie nie przypuścisz by moja siostrzenica robiła cokolwiek bez mojej wiedzy. Wiem wszystko, ale że ta sprawa przykrość jej sprawia, więc sam nigdy jej nie wypytyję. Jakże?... Na ukończeniu?..

— Prawie.

— To źle, bardzo źle, Montesquieu powiedział, w księdze XVI, rozdział XV, że nieszczęśliwa ta kobieta, która... Ale prawda, panu spieszno... zaraz skończę. Nie ma też jakiego środka aby wszystko zniweczyć?

— Trudno.

— To choćby zwlec.

— Możeby się znalazł jaki środek, odparł adwokat po krótkim namyśle — lecz musiałoby być robionem w wielkiej tajemnicy, i mogłoby kosztować... Pan hrabia wie, że kto smaruje, ten jedzie...

— Mylisz się pan, kto smaruje ten stoi, a jedzie dopiero gdy posmaruje. Przypuśćmy atoli że chcę posmarować i że hrabinie słowa nie powiem. Cóżbyś pan żądał w takim razie?

Oczy mecenas błysły radością.

— Sześć tysięcy.

— Za zupełne rozbitcie przyrzekam dwanaście, za dłuższą zwłokę, choćby tylko dwuroczną, sześć tysięcy. I abyś pan nie potrzebował ufać mi na słowo, bo to wy panowie prawnicy ponoszą nikomu nie ufacie, wystawię zaraz rewers, a pan kontrrewers na kwotę podwójną z odsetkami w razie niedotrzymania umowy. Zgoda?

— Zgoda, panie hrabio.

Pan Olpiński napisał prędko dwa rewersy, z których jeden po podpisaniu stał się jego własnością, drugi zaś przeszedł do bocznej kieszeni pana Tarczuka.

— A teraz — rzekł hrabia szybko ku drzwiom zmierzając — miło mi pożegnać pana mecenasa, bardzo miło.

— Polecam się łaskawym względom pana hrabiego dobrodzieja! — odpowiedział adwokat rękę wyciągając.

Oryginał udał jednak że ręki nie widzi. Szybko nad swój wiek zbliżył się do drzwi, otworzył, i suwając nogami, z daleka ukłonił się jeszcze kilka razy gościowi.

Pan Tarczuk był tak odurzony świetnym interesem, który zrobił w ciągu kilku minut, że nawet nie miał czasu, a może i nie chciał myśleć o przyjęciu jakie go spotkało ze strony hrabiego Olpińskiego. W najgorszym razie tylko zwlekając sprawę miał pewnych jednaście tysięcy, a przecież hrabinie nie dał zapewnienia, że w ciągu dwóch lat wszystko ukończy.

Po wyjściu mecenasa, Olpiński mruknął: *canaille!* — przytoczył sobie jakiś cytat z Monteskjusza i poszedł do siostrzenicy.

Hermina po rozmowie z adwokatem była jakby przerażona. Już w ciągu samej konferencji, patrząc na nią gdzieś z za portjery mógłby być zauważać, że sprawa, o której rychłe ukończenie tak się dopominała, nie sprawiała jej przyjemności. Wprawdzie z gorączkowym pospiechem wyjmowała papiery, lecz przrzuciała je prawie z przykrością. Gdy wyjęła plik listów, czarną wstążeczką związanych, oparła się jedną ręką o biurko, w którym papiery były zamknięte, drugą zaś z listami przycisnęła do piersi, jakby jej oddechu brakło. Chwilę stała bez ruchu, a w tym czasie mecenas udawał jakby nie dostrzegł jej wahania. Potem westchnęła, energiczne spojrzenie rzuciła na listy i drobnymi paluszkami rozerwała wstążeczkę. Gdy usiadła przy swoim doradcy, sposób wyrażania się, nawet głosu intonacja zdradzały walkę wewnętrzną. Twarz jej była bledszą, oczy ponure, usta blade. Temu też nastrojowi należało przypisać pospiech, z jakim zgodziła się na wysokie honorarium, za podróż do Wiednia i Rzymu, którego żądał adwokat. Hermina mówiła, naradzała się, ale duszą była gdzieś indziej.

Po odejściu adwokata, jakby od ciężkich więzów uwolniona westchnęła głęboko, z kieszeni wyjęła chustkę batystową i przycisnąwszy ją do oczu, oparła głowę o poręcz fotelu. Czy płakała? Łkania nikt nie słyszał, łez nikt nie widział. Nawet panna Marjanna, która przypadkiem znalazła się znowu pode drzwiami, i mimowoli oko do dziurki od klucza przyłożyła, nie mogłaby tego zaręczyć. Jej się tylko zdawało...

Zanim hrabia otworzył drzwi od buduaru, zaczął głośno kaszlać, chociaż nie miał ani suchot ani kataru, i nogą zawadził tak nieszczęśliwie o taboret stojący pod ścianą, że ten z łoskotem upadł na posadzkę; dopiero gdy go podniósł i postawił na dawnym miejscu, otworzył drzwi i wszedł do środka.

Hermina biegła już naprzeciw z uśmiechem na ustach i radością w oku. Uśmiech jednak był wymuszony, radość żałośna, jak przez łzy.

— Nie dobry wujaszku — rzekła biorąc go za rękę — tak mnie dziś przywitałeś, żem się gniewać powinna.

— Tak ci się zdawało, Hermini, tak ci się zdawało — odrzekł hrabia w czoło ją całując. — Chociaż masz rację... dziś miałem tyle interesów, tyle nieprzyjemności.

— Może co ważnego? — zapytała niespokojnie młoda kobieta.

— Nie... nie... zwyczajne kłopoty z ludźmi... ciebie to nie obchodzi. Ale dobrze żeś przyjechała Hermini, bo byłbym jutro sam po ciebie pojechał. Obecność twoja jest teraz niezbędną. Czytaj, czytaj! Z temi słowy wręczył jej dwa listy.

— Od Toni i majora? To mnie intryguje.

Rozerwawszy kopertę szybko oba przebiegła, poczem wyrwał się jej z piersi okrzyk prawdziwego zadowolenia:

— Jak to pięknie! Oddawna tego pragnęłam, chociaż po ostatniej mojej bytności we Wolicy nie wiele już miałam nadziei.

— Dlaczego? dlaczego? — podchwycił hrabia.

— Bo zdawało mi się że Edmund nie był wcale Tonią zajęty. Widocznie jednak panicz się maskował, aby całej okolicy zrobić niespodziankę.

— E, wy kobiety zawsze posądzacie mężczyzn o udawanie i maskowanie się — przerwał hrabia niecierpliwie — jak gdybyśmy byli stworzeni na podobieństwo wasze... Edmund nie potrzebował udawać, bo major będąc u mnie przedwczoraj otwarcie mi wyznał, że on sam to małżeństwo kojarzy, więc gdzież tu udawanie — he?

— Jakto? łączy ich nie zapytawszy czy Edmund się zgadza, bo że Tonia pragnęła tego, o tem wiem oddawna.

— Pewnie że się zgadza kiedy się żeni, jednak major pierwszy mu tę myśl podsunął.

— I ty wuju uważasz to za dobre?

— Moja Hermini, Montesquieu powiedział w księdze XVIII rozdział VII że w warunkach zwyczajnych ojcowie powinni łączyć swoje dzieci.

— Ale to mój wuju są warunki nadzwyczajne, bo kiedy Edmund nie czuł sam potrzeby...

— Za pozwoleniem, Hermini, za pozwoleniem — przerwał hrabia; — Montesquieu powiedział także, że wszędzie gdzie się znajdzie miejsce na dwie osoby, powinno utworzyć się małżeństwo.

— Cha! cha! cha! Ślicznie! Ciekawam w którym to miejscu popisał się takim frazesem ten wielki Montesquieu.

— Co, nie wierzysz? W księdze XXVIII rozdział XIII, jak chcesz zaraz ci tu całe dzieło przyniosę. To nie frazes Hermini, nie, to filozofja!

Oryginał mówił szybciej jak zwykle i jeszcze dobitniej, a przy słowie ostatniem głowę i palec podniósł do góry.

— Wierzę, wierzę wujaszku i nie sprzeczą mi się dłużej, chcę nawet wierzyć że to filozofja. Wszelako pozwolisz mi wujaszku mieć w tej sprawie także własne zdanie. Otóż mnie się zdaje, że pan major postąpił sobie nadto dorywczo, może nawet po wojskowemu, łącząc młodych ludzi jak niegdyś za błogosławionych czasów patryarchalnych. My niestety żyjemy w warunkach odmiennych... Nie zawsze to, co się rodzicom podoba, jest dziś dobrem dla dzieci.

— A czy zawsze to dobre, co się dzieciom podoba, he?

— Czasem i one się zawodzą przez brak doświadczenia — odpowiedziała Hermina w dół oczy spuszczać — ale w takim razie przynajmniej na nikogo nie mogą narzekać... Wracając do Edmunda muszę teraz wujowi powiedzieć, co mnie u niego najbardziej niepokoi. Oto na swój wiek jest on nadto — nie powiem poważnym, bo chłopiec to dosyć wesół, nawet trzpiot czasem, — lecz jest nadto porządnym człowiekiem.

— Doprawdy Hermini — przerwał pan Olpiński — zarzut szczególny, jedyny w swoim rodzaju.

— Który jednak ma bardzo realną podstawę, przysłowie mówi, że młode piwo musi wyszumieć, a Edmund dotąd nie szumiał. Może wuj powie, że nie ma reguły bez wyjątków, lecz ja odeprę, że wyjątek stanowią tylko natury spokojne, nie tak gorące jak Edmund. Tacy młodzi ludzie muszą choć raz szaleć.

— A któż ci powiedział Hermini, że on już nie szalał, he?

— Nie wygląda na to...

— To może będzie kochał żonę do szaleństwa.

— Wątpię... Tonia jest osobą dobrą, kto wie jednak czy nie nadto dobrą. Taka dobroć gotowa go zniecierpliwic.

— Ej! ej! ej! — zawołał hrabia — ty moje dziecko w śmiałych swoich wnioskach za daleko zachodzisz. Żona dobra i uległa zawsze lepsza jak zbyt energiczna. Przecie wiesz sama... — Tu hrabia urwał, bo Hermina z oznakami niecierpliwości głowę odwróciła. — No, no — dodał — nie robię żadnej wymówki, chciałem tylko powiedzieć, że słodyczą można ugłaskać nawet dzikie zwierzę, a cóż dopiero człowieka! Zresztą Edmund nie jest niczem nadzwyczajnym, żadnym tworem, do którego by aż innych praw potrzeba. Będzie się, orał i zostanie porządnym szlachcicem.

— Być może...

— Ale ja ci ręczę, że tak będzie. Major mówił że pojutrze odbędą się zaręczyny we Wolicy. Pojedziemy?

— Przecie to nie ulega wątpliwości mój wujaszku. (C. d. n.)

Długosz o Elżbiecie trzeciej żonie Jagiełły.

Napisał

ANTONI PROCHASKA.

(Ciąg dalszy).

Przychodzimy dalej do drażliwej materji, mającej traktować o latach królowej, gdyż w porządku rzeczy zastanowić się nam wypada, czy relacja Długosza o „podeszłym jej wieku“ jest prawdziwą. I tu bowiem spotyka Długosz mocno rozgniewanych oponentów.

Oczywiście, że skoro nasza Elżbieta miała z Granowskiego Jana i Ottona, Elżbietę i Jadwigę i inne nieznane nam dzieci, skoro dalej siedm lat po śmierci ostatniego męża jako wdowa przeżyła, nie była, idąc za króla, pierwszej młodości kobietą. Wszakże wiadomo nam, że przed rokiem 1400 poszła po raz trzeci za mąż za Granowskiego, że 1382 odumarał ją ojciec, a dopiero 1417 r. idzie za mąż za króla.

Zważywszy tedy, że stary Otto z Pilczy umiera około 1382 r. i że tak możny pan nie wydał za życia swego córki swej za mąż, musiała być ona natenczas jeszcze nieletnią, niedojrzałą. Co znaczy, że jak na zwyczaj ówczesne, nie miała nawet lat 14, przed śmiercią ojca. Przy-

puścmy więc, że Elżbieta miała podówczas lat ośm—a w takim razie musiała mieć w roku 1417 kiedy szła za króla, lat czterdzieście i trzy. Dziś się może nie nazywalibyśmy panny młodej liczącej lat tyle podstarzałą, lecz ludzie w XV wieku mieli pod tym względem odmienne zapatrywania.

Dla czego atoli nie przypuszczamy, żeby Elżbieta urodziła się w 1382 r. tj. w roku śmierci jej ojca? W takim bowiem razie, miałaby tylko trzydzieści i pięć lat; cyfra i w tym przypadku, jak na owe czasy, poważna i usprawiedliwiająca przytoczony wyżej wyraz Długosza, lecz zawsze o ośm lat mniejsza aniżeli cyfra poprzednia. Wiemy skądinąd, że Otto z Pilczy współczesnik Kazimierza W. musiał być już starym w roku 1382 tj. w roku swej śmierci. Czyż więc trzeba przypuszczać, że nasz Otto, jak ów Abraham w biblji—a żona jego Jadwiga, jak druga Saara, musieli czekać aż do późnej starości, na narodzenie swej córki Elżbiety—owego Izaaka?

W pierwszym przypadku wyrażenie Długosza: iam provectae aetatis femina tj. „podstarzała,” jest ze względu na lata Elżbiety usprawiedliwione, w drugim zaś, ze względu na pojęcie ówczesne o wieku kobiet. Zastrzegamy się jeszcze raz, co do drugiego przypadku, iż usprawiedliwiamy Długosza, tylko ze względu na dziwaczne pod tym względem pojęcie wieku, w którym on żył, że wobec dzisiejszych pojęć, wywołałby Długosz takim wypowiedzeniem największą opozycję i to nie tylko ze strony płci brzydkiej.

Zastanowiwszy się tedy, że i w powyższym rozbieżnym punkcie, ma nasz historyk niezaprzeczoną słusność, łatwo nam teraz wyrozumieć, dla czego Długosz o niej, jako o wyniszczonej przez macierzyństwo, podeszłej w latach mówi „iż miała już twarz zmarszczkami pooraną.” Prawdopodobieństwo tego szczegółu o tyle jest większe, ponieważ wiemy, że ówczesna sztuka toaletowa, nie umiała ukryć tych wrogich znaków niszczonego wszystko Chronosa. Z tem wszystkim atoli nie twierdzimy bynajmniej, żeby Elżbieta była brzydką—tego Długosz nie twierdzi, a konterfektu królowej przyszłość nam nie przekazała. Lecz znowu z drugiej strony, jakże przypuszczać można, ażeby sześćdziesięcioletni prawie król zakochał się w niej; na jakich podstawach psychologicznych budować romans staroego króla z również podstarzałą Elżbietą?

Czyż można wreszcie pojęcie tego słowa—w ówczesnym rozumieniu jego, odnieść do litewskiego charakteru króla? Czyż zresztą, jak na wstępie mówiliśmy, wiek Elżbiety i króla, jego przed miesiącem starania się o rękę córki Wasyla Moskiewskiego księcia, to znowu o księżniczkę Brabancką, nie każą nam się w postanowieniu króla domyślać wszystkiego—tylko nie tkliwej miłości?

A przecież przyczyna musiała być; powód jakiś nie znany, dla którego król poślubił Elżbietę musiał przecież istnieć. Elżbieta nie miała zalet w urodzie, ani w charakterze swojej przeszłości, nawet wiek jej, według ówczesnych wyobrażeń, nie był stosownym już do odnawiania ślubów małżeńskich, jakież tedy powód, pytamy się, że nasz król, nawet wbrew woli panów koronnych, postanowił z nią się ożenić?

Zaiste trudne pytanie, ono to bowiem naprowadziło niepotrzebnie na różne hipotezy warte przynajmniej śmiechu, jeżeli już nie czego gorszego. Nawet wtajemniczony w ducha ówczesnych czasów Szajnocha, postawił w tej sprawie zdaniem naszym, niezbyt trafną hipotezę. Oto powód

jakim objaśnia ożenie się króla z Elżbietą Granowską.

Szajnocha tłumaczy mnogość mężów Elżbiety ogromem skarbów, jakie spadły na nią dziedzictwem po jej ojcu.¹⁾ Obyczajem małopolskim, miała ona przenieść całą fortunę w dom przyszłego małżonka. Brać herbowa—Toporczykowie—czuwali tedy, aby małżonek nie był przypadkiem obcego herbu. Z tej przyczyny strzeżono bogatą Toporczańkę bardzo ściśle w warownym zamku Pileckim. Wszakże chciwość ówczesnych pokoleń—mówi Szajnocha—szydziła z wszelkich zamków i straży. Rozpoczęły się mordercze wyścigi o złotą rękę Elżbiety, trwające przez cały prawie jej żywot. Naprzód zdobył ją sobie w Pilecy i uwiódł za granicę jakiś rycerz morawski, nazwiskiem Wisław. Temuż Wisławowi odbił Elżbietę później drugi Morawczyk, Jańczyk Hiczyński. A gdy Wisław wkrótce zażądał zwrotu małżonki, Jańczyk dla większej pewności zabił swego rywala i poślubił wojewodziankę. W dalszych latach jeden z najmniejszych panów herbu Leliwa, roszczyący sobie prawo do opieki nad owdowiałą po raz drugi Elżbietą, wydał ją przemocą za swego spółherbownika, kasztelana nakielskiego, Wincentego z Granowa. *Nakoniec sam król Polski, stary wdowiec, chcący skarbów starej już także dziedziczki domu Pileckich, pojął Elżbietę po raz czwarty w małżeństwo i jako ukoronowaną królową polską osadził przy swoim boku na tronie.*

A zatem mnogością skarbów Elżbiety i chciwością posiadania tychże u Jagielly, tłumaczy Szajnocha przyście do skutku tego małżeństwa. Obaczymy czy zdanie to ostoja wobec krytyki.

(C. d. n.)

POGADANKI.

XXI.

Kronikarz jednej z gazet tutejszych twierdzi, jakoby tegoroczna ślota majowa, przynosząc nam zbytek wilgoci, oddziaływała niekorzystnie na egzekucję muzykalną. Innemi słowy, publicyście temu—za wiele było deszczu, a za mało (!) koncertów. A jednak, mieliśmy zaledwie trzy tygodnie niepogody, a w tymże samym czasie, oprócz mnóstwa przedstawień opery i operetek, mieliśmy parę osobnych koncertów w sali ratuszowej, i jeszcze niektóre inne pomniejszych prywatne nieszczęścia śpiewająco-grające, które zesłało na nas zachmurzone niebo.

Nie liczymy jednakowoż do nieszczęść, że na parę dni odwiedził nas p. Baraty ze swoim węgiersko-niemiecko-czeskim, damskim towarzystwem, które w niejednym kółku tutejszym zostawiło po sobie miłe wspomnienie, i którego powrotu nie jeden zwolennik Euterpy oczekuje z upragnieniem. Następnie, pna Paschalis i pan Souvestre, pożegnawszy się z nami w teatrze, nie mogli rozstać się ze Lwowem, ażeby nie dać się słyszeć raz jeszcze w magistrackiej sali. Jednym słowem, świat muzykalny kocha nas wierniej i stalej, niż nawet—ślota. Nie pojmuję, jak można jeszcze skarżyć się w takich warunkach!

* * *

Radbym także dociec, w jaki sposób, i kiedy, Jowisz uśmiechający się na przemian z błę-

¹⁾ Szajnocha. Jadwiga i Jagiello. II. 136, 137. Wydanie drugie.

kitu, i zsyłający na ziemię dżdże i ulewy, dogodzić ma naszym pp. ziemianom. Czternaście dni temu, dochodziły do uszu naszych skargi z Podola, z Pokucia, z jęczmiennej i z hreczannej Rusi, że „ziemia pęka od posuchy, że wszystko przepadnie, ozimina schnie, jarzyna nie wschodzi, pod kukurydzą nie można było zorać stwardniałej roli, o sadzeniu ziemniaków ani myśleć, itd.” Nim jeszcze hr. Andrassy zdołał zjechać do Berlina, zaasekurować tam na parę miesięcy pokój europejski, i powrócić do Wiednia, sytuacja zmieniła się do nie-poznania. „Woda stoi w nizinach, z wyzyn deszcz splukął, co było; wszystko wygnije w polu, o oraniu pod hreczkę ani myśleć, kukurydzą wymroziły zimne noce i poranki, pszenica wybujała i wylęgła, żyto wytlukły tucze i grady, jęczmień na wiosnę nie znosi chłodu i chybi z pewnością, itd. itd.”

Gdybym był Zewsem, spaliłbym piorunem tych wiecznych malkontentów, albo też wziąłbym dymisję i podałbym się na tenorzystę do opery lwowskiej. Mówią, że to jest jeszcze jedna z najwygodniejszych posad, i że zajawszy ją, człowiek ma prawo wymyślać, ile mu się podoba, podczas gdy wszędzie indziej jemu wymyślają. Bogi Olimpu, zamiast pogańskiej emerytury, prosiły śnać o engagement tego rodzaju, i złośliwe fatum pokarało dyrektorów, zezwalając na to żądanie. Rozkazało ono, ażeby wszyscy śmiertelni śpiewali cienko (w sensie materialnym), ale wśród tego ogólnego pisku, w akustycznym kierunku kazało dominować kilku tylko wybranym krtaniom, a tłumowi dało jedynie uszy—do słuchania.

Ale też, co uszy, to uszy! *Strach*, jakie uszy!

* * *

Subtelność tego organu odniosła ostatniemi czasy tryumf niepospolity. Czytałem, nie pamiętam już w którym piśmie niemieckim, że Helmholtz badając tony muzykalne, przy każdym zapisanym w regestrach pp. kompozytorów dźwięku, odkrył rozmaite—że tak powiem, „obok-dźwięki,” i tak np. obok *ut* z jednej oktawy, drzeć *ma* w eterze niedosłyszalna dla pospolitych stworzeń, jeszcze *tereja* i *kwinta* z *wyższej*, to jest, jeżeli się nie *mylę* z *cieńszej* oktawy. Na podstawie tego zupełnie dla mnie niezrozumiałego odkrycia, wynalazca zanalizował głos ludzki, rozświetlił wszystkie samogłoski, i następnie z rozmaitych pojedynczych, zasadniczych dźwięków złożył: *a, e, i, o, u*, (nie wiem, czy na fortepianie, czy na innych jakich cymbałach.) O ile wyrozumiałem z tego wszystkiego, będziemy mogli w krótkce obejść się bez mowców ludowych, i pierwszy lepszy fagot albo pikulina będą mogły kandydować o mandat poselski i w tym lub w owym obozie politycznym, a dudy, fujary, i inne instrumenta dotychczas wyłącznie do „pracy organicznej” używane, utracą swój przywilej. Przepraszam mocno muzykalną część szanownych moich czytelników i czytelniczek, że nie umiem wytłumaczyć im lepiej tego najnowszego postępu nauk przyrodniczych, ale kogo to obchodzi, ten poinformuję się niezawodnie z pism fachowych, a dla ogółu wystarczy zanotować tutaj, że wkrótce muzyka nasi nauczą się już całego abecadła, a tem samem, oświata ludzi „zrobi krok naprzód.” Dotychczas, najwyższalceński mistrz tonów oprócz dwóch samogłosek i pięciu spółgłosek ostentacyjnie ignorował resztę elementarza, *A, e, e, d, f, g, h*, — i na tem koniec. Zdobycze kultury

niemieckiej zaprowadzą nas dalej — zjechał właśnie w tym celu inspektor p. Maresz, i niebawem — będziemy wystrychnięci na X.

Proszę mi nie brać za złe, że zwróciwszy się od muzyki do spraw gospodarskich, po kilku słowach odgrzałem na nowo ten sam temat. Komu w niedzielę zadano *Indigo*, w poniedziałek koncert, we wtorek *Hugenotów*, w środę *Giroflé-Girofla*, a w środę znowu koncert p. Paschalis i p. Souvestre, temu w czwartek musi przecież mocno dzwonić w uszach! Szczególnie daje się to w znaki nieszczęsnemu dziennikarzowi. Jak Majerbeera kocham, tak nie wiem w tej chwili czy w Salonice Mukhtar-pasza spiewał don Bolera, lub też czy przypadkiem we Lwowie prokonsul niemiecki w spółce z francuskim nie zamordował pani Tomaszewiczowej! *Man kennt sich ja gar nicht mehr aus!* Do, re, mi, fa, sol, la, si! Instrumentacja Hercogowiny zostawia wiele do życzenia, a pacyfikacja *his-Marka* mimo przymierza trzech mocarstw nie może przyjść do skutku... I deszcz leje, a leje, i kartofle nie posadzone! Oszaleć człeku przyjdzie wśród muzyki, agronomji, polityki, i znowu muzyki! Co dziwnego, że ks. Borzęcki porzuciwszy wygodne stosunkowo zacisze klasztoru OO. Dominikanów, objął jako Mustafa-Dielladin-Pasza kierownictwo jeneralnego sztabu w seraskieracie nad Złotym-Rogiem? Świat wszedł na anormalne tory, i jedni chyba recenzenci muzyczni odkryją w nim jeszcze ślady harmonji. Nam profanom zostaje jeszcze tylko nadzieja, że z czasem i deszcz wypada się, i sprawa wschodnia przeniesie się ku zachodowi, i w koncertach i t. p. nastanie chwilowa przerwa, a w ówczas „pogadamy“ o czemś pożytywniejszem.

Jan Lam.

Piśmiennictwo polskie.

„Głos, Ucho i Muzyka“ rozprawa Augusta Laugel'a, przetłumaczona i uzupełniona przez Felicję Bakszewicz. — Kraków. — Nakładem Adolfa Dygasińskiego. (Dok.)

Zbadawszy czem są dźwięki, jak one powstają i z jakich składają się elementów, samo przez się następcza się nam pytanie, w jaki sposób słyszymy te dźwięki? Atoli kwestja sluchu nie należy już do dziedziny fizyki. Dopóki dźwięk jest tylko falą dźwięczną, dopóty on jest zjawiskiem akustycznym, badaniem przez fizyka; w chwili jednak gdy przekształca się we wrażenie sluchu, staje się już przedmiotem studjów psychologa. Wszelako *Helmholtz* uważał za właściwe uzupełnić swą pracę streszczeniem najnowszych badań na polu fizjologii i psychologii sluchu. *Laugel* bardzo słusznie naśladował w tym względzie *Helmholtz'a*; jednak od czasu ogłoszenia jego pracy, fizjologia znaczenie postąpiła naprzód, szczególnie w sprawie zmysłu sluchu. Przedtem trzymano się powszechnie hipotezy *Corti'ego*, według której wykryte przez niego w uchu pręciki w liczbie kilku tysięcy, stanowić miały naturalną klawiaturę ucha, podobną do klawiatury fortepjanu. Przypuszczam tedy, że każdy z tych pręcików jest nastrojony na inny ton, tak jak na inny ton jest nastrojona każda struna fortepjanu. Owóż wiadomo, że jeżeli podniesiemy deko fortepjanu, przyciśniemy pedał i nachyliwszy się nad strunami, zaśpiewamy głośno jakąkolwiek nutę, za-

brzmia same przez się te struny, które są nastrojone na tę samą nutę lub na jej składowe części. Mniemano tedy, że coś podobnego odbywa się w uchu: — że każda fala dźwięczna, uderzając o pręciki *Corti'ego*, wprawia w drganie tylko te w pośród nich, które są odpowiednio do niej nastrojone; jednakże dokładniejsze badania nad anatomią ucha wykazały bezzasadność tej hipotezy. Zarzucono też ją od lat paru, a przyjęto teraz hipotezę *Hensen'a*. Tłumacz w obszernym przypisku uzupełnił tę rzecz i doprowadził do dzisiejszego stanu umiejętności, za co mu tem bardziej wdzięczni jesteśmy, że o ile wiemy hipoteza *Hensen'a* nie była jeszcze ani razu w polskim języku opisana, nawet w dziełach fachowych.

Już z tego krótkiego i pobieżnego wyciągu czytelnik przekonać się może, jak bogata jest w treść rozbiegana przez nas książka; a jednak jest to dopiero połowa dzieła, drugiej zaś przedmiotem jest już muzyka.

Autor rozbiega naprzód attributy muzyki i jej stanowisko w hierarchji sztuk pięknych; następnie opisuje gammy i ich historję, a poczynając od najstarszych gamm Greckich, zwanych *diagramami*, przechodzi z kolei do ośmiu gamm średniowiecznych kościelnych i do gamy gaelickiej; a wreszcie rozbiega obie nasze gammy, majorową i minorową, wyluszczając przytem obszernie zalety trybu majorowego i przyczyny, dla których zdołał on utrzymać się i zwyciężyć wszystkie inne gammy, rywalizujące z nim przez cały ciąg wieków średnich.

Na zakończenie znajdujemy dwa rozdziały o muzyce melodyjnej i o muzyce harmonijnej, opracowane bardzo sumiennie. W pierwszym z nich opisuje autor jak powstała melodia u Greków, jak odgrywała zrazu rolę podrzędną i uważana była tylko jako akompanjament do deklamacji; jak jednak później, w miarę udoskonalania się instrumentów, przedewszystkiem githary i fletu, a głównie w skutek rozwijania się gamm i modulacyj melodyjnych, jak zaczęła wyrabiać sobie samodzielność i stanowisko odrębnej sztuki. W drugim zaś, trzymając się coraz powszechniej już teraz wygłaszanego zdania, że harmonji właściwej Grecy nie znali, autor początek jej datuje od *Hucbaldu's'a*, który żył w X stuleciu i pierwszy napisał utwor *diafoniczny* to jest rozłożony na dwa głosy, trzymane nie w unisonie lub w oktawie jak u Greków, ale w przestankach kwinty, kwarty i duodecimy. Z kolei opowiada autor o roli jaką *Guido d'Arezzo* odegrał w historii muzyki; opisuje powstanie stylu *fugi*, reformę Sgo Grzegorza, wpływ reformacji Lutera, reformę dokonaną przez *Palestrinę* w skutek zlecenia Soboru Trydenckiego; dalej, powstanie stylu opery w XVII stuleciu, reformę *Rameau'go* i podniesienie zaniedbywanej poprzednio *septymy*, skutkiem czego rozwiązały się dyssonanse; i wreszcie kończy rozbiorem tegoczesnej muzyki harmonijnej.

Ale mówiąc o niej i o dyssonansach niepodobna mu było nie dotknąć dwóch drażliwych spraw: — upadku śpiewu i „muzyki przyszłości.“ Są to kwestje tak ważne, a jednak tak trudne do rozbioru, że autor widocznie długo się wahał, zanim zdecydował się mówić o nich. Dla tego też je nader pobieżnie traktuje. Jednakże w sprawie upadku śpiewu i rozwoju dyssonansów, wystąpił dość energicznie, winę tego przypisując bardzo słusznie wprowadzeniu i rozpowszechnieniu się fortepjanów. Bo też rzeczywiście fortepjan wiele zawinił. Instrument ten z zasady fałszywy, jak

to autor starannie wykazał, rozpowszechnił się jednak tak olbrzymio, że dzisiaj będąc już w użyciu prawie w każdym domu, od kolebki kształci w nas poczucie muzyczne i od kolebki systematycznie i wytrwale psuje nasze ucho. „Ale jakże przerobić fortepjan, zapytuje autor; któryż artysta odważy się wypowiedzieć wojnę temu instrumentowi tak demokratycznemu, co wprowadził wszędzie zamiłowanie do muzyki, — i który z powodu, że nie jest ani zbyt melodyjnym, ani zbyt harmonijnym, służy do oddawania wszystkich utworów muzycznych, chociaż wprawdzie interpretuje je miernie i bardzo miernie, a nawet pospolicie, banalnie.“ — *Helmholtz* proponuje wprost popalić fortepjan, jestto jednak środek zbyt radykalny; autor zaś radzi żeby je przynajmniej wyrzucić ze szkół śpiewu, a to dałoby się już może prędzej przeprowadzić. *Helmholtz* zbudował instrument, nazwany przez niego „harmonium“, na którym otrzymał piętnaście akordów majorowych i minorowych, zupełnie czystych i dokładnych; instrument ten jest jednak bardzo skomplikowany i przez to szalenie drogi. Można jednak mieć nadzieję, że z czasem gdy go udoskonalą i kiedy go taniej fabrykować zaczną, rozpowszechni się on więcej i może wreszcie odnieść nad fortepjanami zwycięstwo.

Taka jest treść pracy p. *Laugel'a*. Uważamy za zbyt czyste szafowanie pochwałami, bo kogo to, cośmy tu opisali nie nakłoni do przeczytania tego dzieła, tego i pochwały nakłonić nie zdołają. Jednak musimy jeszcze słówkiem wspomnieć o tłumaczu. W literaturze naszej, prawie w każdej gałęzi wiedzy, pleć piękna ma znakomitych reprezentantów. Wszakże na polu przyrodniczym kobiety u nas nie występowały jeszcze wcale. *P. Bakszewicz* jest tedy pierwszą, która się odważyła wejść na to pole, i wystąpieniem swem od razu dobrze się zarekomendowała. Albowiem przekład jej jest tak czysty, tak polski, i opracowany z taką znajomością nauk przyrodniczych, że nic mu zgoła zarzucić nie można. Owoż bądźco bądź, świadczy to że i nasze panie biorą się już do studjowania przyrodnozawstwa, — a jest to niewątpliwie objaw bardzo pomyślny.

X.

BIBLIOGRAFJA.

Francuska.

— Le Roman d'un exilé en Sibirie par M. Louis Collas, 1 vol. in 18o; Ghio. 1876.

Opowiadanie to jest w istocie romansem, i nie jest niczem innym jak tylko romansem. Historia jest tu tylko ramą ruchomą i zaledwie z lekka naszkicowaną. Opowiadanie przechodzi wśród wypadków nie mieszając się z niemi wcale. Znajdziesz tam wygnańca, wśród ostrego klimatu północnej Syberji znoszącego niezmierne katusze za udział we wielkim powstaniu polskim, który doświadczywszy całej okropności niewoli i wymknąwszy się w bajeczny sposób z katorżni dostaje się przez Chiny do Paryża, aby tu wypocząć. Romans ten, w którym już treść sama okazuje trudności, zapewniają charakterystycznie skreślone, wznieśli uczucia, sceny i opisy interesujące.

Szwedzka.

— Oefversigt af den polska litteraturen med särskildt afseende på den svenska historien af Xaver Liske, Prof. vid universitetet i Lemberg. II. Oefversättning ifran författarens tyska originalhandskrift.

Donosiliśmy już na tem miejscu o wyjściu lgo tomu pracy profesora tutejszego uniwersytetu, Dr. Liskego, mającej na celu obznajomienie Szwedów z historją polską, o ile ona dotyczy historii Szwecji. Obecnie wyszła część druga, i zawiera materiały rękopiśmienne do historii kongresu Szczecińskiego z r. 1570, przedewszystkiem ob-

szerną relację Marcina Kromera, złożoną d. 12 Stycznia 1571 w Warszawie Zygmunta Augustowi po powrocie ze Szczecina, gdzie Kromer wspólnie ze Solikowskim reprezentował Polskę, a dalej sprawozdanie z Walewskiego: Historia wyzwolonej Rzeczypospolitej, przedewszystkiem z dziejów zjazdów: toruńskiego i kongresu oliwskiego. Prócz tego wyjdą jeszcze dwie części. Trzecia, która jest w druku, obejmuje sprawozdanie z następnych dzieł: Walewski. Bezkrólewie po Janie Sobieskim — Jarochowski: Dzieje Augusta II; Helcel: Listy Jana Sobieskiego: Kalinka. Ostatnie lata panowania Stanisława Augusta; Głębocki. Wojna szwedzka za Karola; Dzieduszycki: Dzieje kościoła katolickiego w Szwecji, i oryginalnie przez Dra Liskego opracowany stosunek Karola XII do Leszczyńskich i Sobieskich przed elekcją Stanisława. W części czwartej i ostatniej umieszczonem będzie sprawozdanie z pamiętników i zbiorów polskich odnoszących się do historii szwedzkiej.

Wiadomości z kraju i ze świata.

Jubileusz K. Wójcickiego.

— Dnia 15. bm. w Warszawie, około trzysta osmdziesiąt osób zapełniło salę Resursy obywatelskiej, ażeby uczcić sędziwego autora, który pół wieku spędził na służbie piśmiennictwa rodzinnego. Stanowisko literackie Kazimierza Wójcickiego i jego zasługi piśarskie tak ogólnie są znane, że nie będziemy się tutaj dłużej zastanawiać nad autorską działalnością jubilata. Zna ją u nas cały oświecony ogół i nie wielu jest autorów w kraju naszym, którzyby mogli się poszczycić tak rozpowszechnioną popularnością, do jakiej doszedł Wójcicki. Dowodem tego zebranie poniedziałkowe, jedna bowiem z największych sal w Warszawie zaledwie pomieściła pragnących wziąć udział w tej uroczystości, a w dwóch jeszcze ostatnich dniach trzeba było odmówić wielu żądanom. Dowodem również są różne telegramy i listy, które jubilat otrzymał. Wyliczamy tylko lwowskie: Władysław Belza, Stanisław Dobrzański, Władysław i Bronisław Zawadzcy, Czytelnia Akademicka, Towarzystwo Archeologiczne, Gubrynowicz i Szmidt, Milikowski, Karol Wild, F. H. Richter, Seifart i Czajkowski, Bartoszewicz, Kornel Ujejski, Redakcje: „Tygodnia“, „Gazety Narodowej“, „Dziennika Polskiego“, Bielowski, Liske, Kaczyński, Malecki, Radziszewski, Hirsberg, Burzyński, Łoziński, Pilat, Grabowski, Urbański, Węclewski, Czerkawski, Fredrowie, ojciec i syn, itd. itd. Akademia umiejętności w Krakowie przysłała także telegramy. Sala resursy obywatelskiej była na tę uroczystość bardzo stosownie przybrana. Na ścianach wisiały tarcze z tytułami dzieł jubilata, a bardzo zręcznie skorzystał z tego literackiego ornamentu p. Karol Kucz, wydawca „Kurjera Codziennego“, który w pięknej improwizacji na cześć Wójcickiego wypowiedzianej, zwracając się do tych tytułów prac każdemu u nas znanych, rzekł, iż jubilat śmiało odezwać się może z poetą:

Oto są grzechy mojego żywota.

Daj Boże wielu takich grzeszników!

P. Syrewicz wykonał umyślnie na tę uroczystość nader starannie wyrzeźbione i odznaczające się wielkiem podobieństwem rysów popiersie Wójcickiego, a w festonach z liści pod galerją wisiał medalion jubilata wykonany przez p. Kamińskiego. Wchodzącego do sali szanownego autora, przywitał p. Papłoński dyrektor Instytutu głuchoniemych i ociemniałych w Warszawie. Dalej przemawiali: pp. Adam Pług, który skreślił zasługi literackie jubilata; doktor Lewestam (odeczytał wiersz E. Odyńca umyślnie na tę uroczystość napisany), J. Gregorowicz (stanowisko Wójcickiego jako obywatela i ojca rodziny), Wacław Szymanowski (wiersz W. Korotyńskiego), J. Leszczyński (wiersz własny), Kraushaar (wiersz własny), Sulimierski redaktor „Wędrowca“ (ogólne streszczenie zasług Wójcickiego), K. Zaleski (odezwę Akademii krakowskiej), Karol Kucz, Rzązewski, Kościelski znany dramaturg, Zegrzda Ludwik Zawiszewski w imieniu Zgromadzenia drukarzy, etc. etc. Przy powitaniu szanownego jubilata dyrektor Papłoński wręczył mu w imieniu obecnych złotą tabakierkę z cyfrą brylantową na wierzchu i stosownym napisem wewnątrz. Przy stole rozdawano świeżo wyszły z pod prasy prospekt na ilustrowane klechdy Wójcickiego (wydanie redakcji „Kłosów“), z którego to dzieła jak wiadomo dochód przeznaczony jest na

korzyść jubilat. Prospekt ten ozdobiony jest pięknym rysunkiem Andriollego, który wraz z innemi ma wyjść w skład tego starannego wydania. Do uprzyjemnienia zebrania przyczyniła się nie mało orkiestra pp. Lewandowskiego i Kuhnego, a w ogóle cały rozkład i urządzenie uczyły odznaczały się ładem i porządkiem, które jak wiadomo, bardzo trudno jest zachować przy tak licznej zgromadzeniu biesiadników. Zabawa, w której oprócz przeważnego zgromadzenia mężczyzny wszystkich stanów i powołań, brała udział rodzina jubilata, oraz kilka literatek warszawskich, przeciągnęła się do bardzo późnej pory. Do uroczystości dnia pamiętnego, przyczyniły się nie mało liczne powinszowania, jakie jubilat w domu otrzymywał. Najmilsze zapewne dla jego serca było powinszowanie studentów warszawskiego Uniwersytetu, oraz uczniów kilku gimnazjów.

Sztuka i literatura.

— Komitet zajmujący się zbieraniem funduszu na wystawienie pomnika śp. Sewerynowi Goszczyńskiemu, otrzymał od Namiestnictwa pozwolenie na zbieranie składek w obrębie miasta Lwowa po koniec r. 1876. Osoby z prowincji, chcące przyczynić się swemi datkami do pomnożenia funduszu, zechcą przysłać pieniądze wprost do skarbnika komitetu, którym jest p. W. Gubrynowicz, księgarz lwowski. Przy tej sposobności niech nam będzie wolno zapytać, co się dzieje z pozostałemi po ś. p. Sewerynie Goszczyńskim manuskryptami? Czy nigdy one nie ujrzą światła dziennego?

— We Lwowie nakładem rodziny, a w komisie księgarni Wł. Zawadzkiego, wyszły w dwóch tomach poezje Adama Pejgerta. Obszerną ocenę wkrótce podamy.

— Nagrodę konkursową w kwocie 1.800 franków, rozpisaną przez polskie Towarzystwo historyczno-literackie w Paryżu otrzymał dr. Antoni J. Tematem konkursu było sprawozdanie z publikacji rosyjskich, odnoszących się do historii trzech ostatnich wieków istnienia Rzeczypospolitej polskiej. Dr. Antoni J. dał w swoim dziele przegląd 2.500 tomów i 6.000 dokumentów rosyjskich.

— W Królestwie Polskiem znajduje się obecnie 10 trup dramatycznych prowincjonalnych. W Warszawie powstaje nowe codzienne pismo polityczne, którego właścicielem będzie znany tamtejszy bankier Bloch, współzawodnik Kronenberga, a redaktorem p. Lewestam, który przed rokiem sprzedał „Wiek“ p. Zaleskiemu.

— Tom II zupełnego wydania dzieł Karola Szajnochy opuścił prasę w Warszawie i zawiera dalszy ciąg „Szkieł historycznych“.

— We Lwowie utworzył się komitet, mający wystawić pomnik dla J. N. Kamińskiego. Dotychczas zebrano kilkaset guldenów. Dalsze składki przyjmuje p. Witalis Smochowski, były dyrektor sceny polskiej, przewodniczący komitetu, ulica Kopernika liczba 6.

— Na tegoroczny konkurs ogłoszony przez Księgarnię Polską we Lwowie na teatryki amatorskie dla dzieci zostały już nadesłane następujące utwory: „Fanfaron ukarany“, komedyjka we dwóch aktach. „Grymaśnica ukarana“, komedyjka we dwóch aktach. „Janek“ komedyjka w jednym akcie. „Lepiej się uczyć“, komedyjka we dwóch aktach. „Machocha“, komedyjka we dwóch aktach, czterech odsłonach. „Na Wakacje“, obrazek sceniczny w jednym akcie. „Oliwa wypłyń“, obrazek sceniczny, w jednej odsłonie ze śpiewkami. „Podstęp ukarany“, komedyjka dla dzieci w trzech odsłonach. — Termin do nadsyłania utworów przeznaczony na tegoroczny konkurs upływa z końcem maja b. r.

— Dnia 8 b. m. odbyła się w Orleanie, we Francji, uroczystość odsłonięcia pomnika bohaterkiej dziewczicy Joanny d' Arc. Po poświęceniu pomnika nastąpił obchód mający całkowicie cechę średniowieczną. Przeciągał bowiem przez miasto orszak króla Karola VII. w średniowiecznych strojach, wszystkie postacie wodzów i rycerstwa, jak marszałek Bertrand de Bouigny, równie jak sama Joanna d' Arc i jej otoczenie oddane były z historyczną wiernością w ubraniu i postaciach. Halabardnicy poprzedzali orszak, który zamykał szczyplę zastęp łuczników i rycerzy zakutych w żelazo. Pochodowi temu towarzyszyła muzyka wojskowa odgrywająca pieśni narodowe i wojenne.

Otwarcie wystawy w Filadelfji.

— Uroczystość otwarcia wystawy powszechnej w Filadelfji nastąpiła dnia 10go maja. Telegram zaatlantycki donosi: Dzisiejszy dzień uważano jako właściwy otwarcia; od rana jęczały dzwony, flagi powiewały, rozlegał się huk wystrzałów wiwatowych, wszystko to nadawało uroczystości podniosły charakter. We wtorek była ślota, dzisiaj się wypogodziło, właśnie w chwili otwarcia wystawy. Dzwon świątyni niepodległości pierwszy ogłosił wielką chwilę. Telegraficzne sygnały wprawiły w tej chwili inne dzwony miasta w poruszenie. Publiczne budowy przystrojono w chorągwie wszystkich narodowości, a z każdego prawie okna prywatnych domów powiewały narodowe chorągwie z patriotycznymi napisami. Na jednym z publicznych gmachów pozawieszano chorągwie wszystkich narodowości, które przyczyniły się do kolonizacji Ameryki. O godzinie 7ej min. 30 rano, uformowała się na Broadstreet wojskowa eskorta złożona z piechoty, kawalerji, artylerji i żołnierzy marynarki. O godz. 9ej zajęła ona miejsce przed domem prezydenta. Prezydent i ministrowie zajęli powozy. W powozie prezydenta zasiadł także sekretarz Fisch, gubernator Hasrauft z Pensylwanji i Mr. Childs. W drugim powozie znajdował się cały gabinet. Pochód ruszył przez most na miejsce wystawy. Tysiące ludzi zalegały ulice. Prezydenta przyjmowano bardzo sympatycznie. O dziesiątej godzinie kto żył ruszył na plac wystawy. Sprowadzone zewsząd dożki nie mogły nastarczyć. Ogromna masa pociągów towarzyskich z miast okolicznych przybyła do Filadelfji. O godz. 10ej min. 30 po procesjonalnem okrążeniu wystawy prezydent z ministrami zajął miejsce na osobnej trybunie. Poboczne trybuny ciągnące się wielką przestrzeń zajęli członkowie ciała dyplomatycznego, kongres Stanów Zjednoczonych, sędziowie najwyższego trybunału, komisarze wystawy i urzędnicy, komisarze państw obcych, sędziowie wystawy i zagraniczni konsulowie. Cesarz i cesarzowa brazylijscy zajęli osobną trybunę tuż obok prezydenta, ozdobioną chorągiewami angielską i Zjednoczonych Stanów, a po bokach francuską i niemiecką. Otwarcie towarzyszyło przeszło 50.000 osób. Skoro prezydent pojawił się na trybunie, został przywitany głośnie miwatami. Ceremonję rozpoczęła orkiestra złożona z 160 muzykantów, odegraniem hymnów narodowych wszystkich ludów reprezentowanych na wystawie. Potem odegrano marsz tryumfalny Wagnera, skomponowany umyślnie na tę uroczystość. Marsz ten przyjęła publiczność grzmiotem oklasków. Potem biskup Simpson odmówił modlitwę, a chór złożony z 1.000 śpiewaków odśpiewał hymn „O bożem błogosławieństwie.“ Nastąpiły mowy Mr. Johna Welsh, przedstawiającego wystawę wydziałowi obchodu stuletniego Niepodległości amerykańskiej i prezydenta Granta. Mowa tego ostatniego wywołała powszechne aplauzy, cesarz brazylijski powstał i przyczynił się także do oklasków. Prezydent w towarzystwie cesarza wprawił w ruch maszynę parową, która będzie poruszać wszystkie eksponowane maszyny. Po skutecznieniu tego nastąpiła wielka recepcja. — Zapewniają, że pod względem świetności wystawa Filadelfijska nie miała jeszcze równej.

Podróże.

— We Florencji, dnia 10 czerwca rb. odbędzie się kongres włoskiego towarzystwa alpejskiego wraz z kołem filologów florenckich. Na dzień ten wszystkie podobno towarzystwa angielskie, francuskie, austriackie, niemieckie i węgierskie wysyłają swoich delegatów. Galicyjskie zaś Towarzystwo Tatrzańskie poleciło jednemu ze swoich członków, panu Arnese z Uścikowa, aby wręczył kongresowi zbiór minerałów karpaccich i ofiarował królowi Wiktorowi Emanuelowi album Tatrów, które na wystawie geograficznej paryskiej uzyskało honorową nagrodę. Tatry z każdym rokiem ściągają większą liczbę turystów. W tym roku, w letnich miesiącach kilkadziesiąt osób z Poznańskiego organizuje wspólna towarzyską wyprawę z tatrzańskie malownicze okolice.

Nekrologja.

† Ludwik Hirschfeld, znakomity anatom i profesor uniwersytetu umarł w Warszawie w pierwszych dniach maja rb.

ROZMAITOŚCI.

— W roku 1652 wprowadził handlarz Daniel Edwards kawę do Anglii, i już w tym samym roku pewien Grek założył pierwszą kawiarnię w Londynie. Rychło potem napój ten, dziś tak powszechny i prawie niezbędny, wszedł w modę, za czem powstały liczne kawiarnie, tak, że prawie każdy stan miał swoją własną, gdzie się zgromadzał w oznaczonych godzinach. Więc były kawiarnie literackie, teatralne, wojskowe, polityczne i kupieckie. Niemniej adwokaci i duchowni, filozofowie i lekarze, artyści i krytycy, amatorowie gier różnych, nawet gałganiarze zbierali się dla rozrywki i narady w zakładach takich. Zgromadzenia te, prototypy klubów dzisiejszych, odgrywały nieposlednią rolę w angielskiej literaturze i polityce 18go wieku, jak również wywierały wpływ znaczny na handel i połączone z nim interesa. Do największych zakładów kupieckich tego rodzaju należały kawiarnie Lloyda i Garrowaya, głośnie po dzisiejsze czasy w całym świecie. Oczywiście że te kawiarnie od dawna już zamieniły się w olbrzymie świątynie Merkura, w których złota i srebra dostanie w każdej chwili, ale kawy nie sprzedają od stu lat prawie. Gdy ku końcowi 17go wieku kawiarz Lloyd osiedlił się koło londyńskiej giełdy z całym swoim arsenałem kawiarnianym, nie przeczuwał wówczas zapewne, że nazwisko jego stanie się kiedyś sławną w świecie kupieckim dewizą, i przejdzie w potomne wieki. Los jednak przygotował dlań miliony i nieśmiertelność. Lokal jego położony korzystnie, bo tuż koło giełdy, zrazu był miejscem schadzki dla agentów i asekuratorów, później ostatni wyrugowali pierwszych i sami zawładnęli placem. Kawiarnia zwolna przybierała postać wielkiego kantoru handlowego, gdzie wyłącznie zawierano ubezpieczenia okrętów, puszczających się na pełne morza; z czasem zaś poczęła stawać się zbornym punktem całej inteligencji handlowej. Gdy atoli w miarę wzmagania się liczby odwiedzających, lokal okazał się zbyt małym, asekuratorowie przesiedlili się do sąsiedniej giełdy królewskiej, w której wyznaczono im wspaniale urządzone apartamenta wschodniego i północnego skrzydła gmachu. Nowa ta ich siedziba, mająca nawet charakter urzędowy instytutu, zatrzymała nazwisko „kawiarnia Lloyda.“ Liczba członków jego wynosiła w r. 1778, sześciuset, a w r. 1851 wzrosła do 1900. Znaczne koszty utrzymania zakładu pokrywano z rocznych wkładów członków i z dochodów płynących z wydawnictwa dziennika „Lloyd list.“ Pismo to wychodzi od r. 1726 regularnie każdego wieczora i zawiera najróżnorodniejsze wiadomości, zebrane w ciągu dnia całego. Więcej jak tysiąc agentów we wszystkich portach krajowych i zagranicznych, rozrzuconych po całej kuli ziemskiej, dostarczają z sumienną regularnością wiadomości o przybyłych i odchodzących okrętach, o wypadkach na morzu itp. Tego rodzaju korespondencje przychodzą do Lloyda co dzień setkami listów i telegramów, bywają nasamprzód drukowane na kartkach i rozdzielane pomiędzy publiczność, a potem wieczór pojawiają się zarejestrowane w „Lloyd list.“ Podziwienia godna jest autentyczność takich wiadomości, znana od niepamiętnych czasów, i rzadko kiedy zdarzy się, by raz podana wieść była potem demontowana. Jeśli jakiś handlarz powie: „Mam tę wiadomość z Lloyda“ — to nawet rzecz najbardziej nieprawdopodobna, znajduje niezachwianą wiarę. W Lloydzie prowadzą także najdokładniejszy wykaz o objętości, wieku i przynależności wszystkich okrętów, które z Anglii i do Anglii płyną, również o charakterze i zdolnościach kapitanów. Gdy który asekurator zapotrzebuje jakich informacji o pierwszym lepszym okręcie lub kapitanie, może otrzymać je w kilku minutach. Mimo to, że stworzyli sobie tak znakomite środki pomocnicze, nie wiążą się w spółki ale każdy z nich działa na własną rękę. W razie tylko, jeżeli idzie o wysokie sumy i większe ryzyko, zapewniają się wzajemnie przez reasekurację. Wszyscy oni są oczywiście bardzo zamożni, choć egzystencje ich nie pozazdrośczenia godne, ze względu na odpowiedzialności bezustanne, które na nich ciąży. Jeśli na brzegach angielskich lub na odległych morzach srożą się burze,

wówczas z nieopisaną trwogą i łatwo zrozumiałym niepokojem oczekują co chwila w Lloydzie telegramów, donoszących o wypadkach z okrętami. Nie dziwnego, że taka bezustanna niepewność niszczy zdrowie, gdy zważymy, że często od jednej burzy zawisło całe mienie asekuratora. Mimo to Lloyd angielski naśladowano w wielu miejscach i mamy obecnie np. Lloyd północno-niemiecki, bałtycki, tryjesteński, wiedeński, peszteński i inne. Wszystkie one mają to między sobą wspólne, że trudnią się żegluga i asekuracją okrętów. Gdy asekuratorowie, jak wyżej wspomnieliśmy, wyrugowali agentów z kawiarni Lloyda, wówczas ci założyli główną swą kwaterę w kawiarni Garrowaya, i przez całe stulecie lokal ten był areną gry giełdowej. Rząd nie sprzyjał wtedy tego rodzaju spekulacjom, własnej giełdy nie mieli i nie było prawa, któreby chroniło termin zawartego kupna lub sprzedaży. Pomimo tych trudności, brokery (agenci giełdowi) umieli rozwijać swój przemysł, czego dowodem rok 1720, podobny ze szwindłów do ery poprzedzającej ostatni krach wiedeński. Okazuje się, że już wówczas umiano w przeciągu 14 dni niektóre akcje wyforsować na 1.000, poczem w kilka dni spadły na 200! U Garrowayczyków wytworzył się osobliwy żargon giełdowy, który ztamtąd, mniej lub więcej, rozprzestrzenił się później na inne targowice europejskie. I tak n. p. kupujących papiery państwowe nazywano „niedźwiedziami“, sprzedających „bullami.“ Pierwszych, gdyż starali się wszystkimi siłami obniżyć kurs papierów, drugich z wręcz przeciwnej przyczyny. Jeżeli się ktoś zrujnował kompletnie, nazywano go „okaleczoną kaczką.“ Gdy papiery długu państwa, po wojnie z Francją wzniosły się do olbrzymiej wysokości, pojawił rząd, że te zapłaty giełdowe są koniecznym złem, inaczej nie można byłoby trzymać bezustannie w obiegu kolosalnych sum dłużnych. Naprzeciw banku angielskiego zbudowano tedy giełdę przeznaczoną na handel papierów państwowych i otworzono ją, ku wielkiej uciesze brokerów w r. 1802. Kawiarnię Garrowaya zmieniła się już do niepoznania, podobnie jak Lloyda. Nazwa została, lecz zamiast kawy, istnieje pod tą firmą największy na cały świat dom komisowy dla sprzedaży dóbr, okrętów i towarów.

— Od czasu do czasu wyczytać można w niektórych dziennikach, zajmujących się skrupulatniej sprawami wszystkich narodów na świecie — pod rubryką „Chiny“ doniesienia o tym lub owym reskrypcie Hanlin'u, i zwykle Europejcykowski uśmiech politowania wybiegnie na usta, gdy przeczyta taki ukaz owej instytucji niebieskiego państwa. Nie dziwnego, że się roześmiać trzeba, bo w obec pojęć naszych wiele a wiele najpoważniejszych nawet rzeczy chińskich zabawnymi się wydać mogą. Dodać jednak trzeba, że i Chińczycy nie lepiej nas sądzą. Z ich punktu widzenia, Europa z całą cywilizacją swoją daleko za nimi pozostała. Wszak niedawno czytaliśmy sprawozdanie z Stomowego dzieła dwu Chińczyków traktującego jedynie o ostatniej wojnie francusko-pruskiej, którego konkluzją jest niezłomne przekonanie autorów, że Europa o 2300 lat pozostała w tyle za Chinami! Wróćmy jednak do rzeczy. Cóż to jest ten Hanlin? Przetłumaczone na polskie znaczy: „Las pęzlów“ a nie tyle w polskiem, ile np. przetłumaczone w niemieckim (Pinsel-Wald) brzmi ta nazwa bardzo niepoehlebnie dla noszącej ją władzy. Niechby jaki poddany niemiecki odważył się zatytułować jawnie pierwszą lepszą władzę rządową „Gromadą pęzlów“ toby odpokutował pewnie ten żart — w kocio! Inaczej u Chińczyków. Tam pęzel jest znamię najwyższej i najznakomitszej wiedzy umysłowej, tej zaś główną podstawą pismo. Pisać pięknie i dobrze — znaczy, mieć patent na uczonego. Najuczepszy bowiem mandaryn wciąż i wciąż kształcił się w kali- i ortografii, a mimo to żaden z nich poszczycić się nie może, by osiągnął szczyt doskonałości w tym kierunku, obejmującym sobą dla Chińczyka cały obszar wiedzy ludzkiej. Wiedzieć bowiem należy, że pisownia chińska posiada nietylko podobnie do naszych 25 małych i wielkich liter, ale tam każde pojęcie ma inny swój obraz ze słów, a znowu to same słowo innymi znakami pisane, inne wyraża znaczenie. Kto zatem jeno 5000 zna-

ków pisać umie, ten zdoła wyrazić tylko 5000 pojęć; atoli, gdyby kto potrafił 25000 pojęć rozróżnić z pamięci i naśladować, ten dopiero ukwalifikowany byłby tak potężnie, iż śmiało piastować może, i należy mu się, urząd najwyższy w państwie. Ale obok tego i ta trudność na oko zachodzi, że Chińczycy nie piszą jak my, piórem i atramentem, ale malują delikatnymi pędzlami swoim tuższym sławnym. Ztąd też pędzel zażywa takiego poważania, jest oznaką uczoności i wykształcenia, a nazwa „Las pęzlów“ oznacza niemniej, jak dostojne zgromadzenie uczonych państwa. Instytucja ta, zresztą porównać się dająca z europejską Akademią umiejętności, datuje się bardzo dawno bo od roku 740 po nar. Chr., według naszego liczenia. Założył ją cesarz Su-tung, usiłując ustanowieniem tej władzy podnieść umiejętność pisma — więc alfę i omegę wiedzy — w swem państwie. Zadaniem jej głównym było i jest obecnie: przechowywać pilnie w nieskazitelnej czystości zabytki starożytnej literatury, niedopuszczać, by miały kiedykolwiek miejsce fałszowania i podszywania się lichych autorów pod znakomite nazwiska, słowem, winną była przestrzegać i zabraniać, by złe dzieła niedowarzonych mędrków nie rozpowszechniały się między narodem. Jak widzimy, Hanlin jednoczy w sobie potrosze z europejskiego ministerjum oświaty, Akademii umiejętności, władzy cenzuralnej itp. a jakim był w roku założenia swego, tak dotrwał w swej misji po dziś dzień, i dotrwa jest nadzieja, po koniec świata. Do atrybucyj jego należy także decyzja we wszystkich kwestjach wątpliwych co do bibliotek cesarskich i co do ortografii pojedynczego słowa. Również rozstrzyga o kwalifikacji kandydatów do egzaminów i urzędów państwowych, daje aprobatę lub konfiskuje dzieła albo gazety — a ponieważ wie wszystko, więc jest także najlepszym źródłem dla dowiedzenia się o rzeczy n. p. takiej która wydarzyła się kiedy przed 2000 lat! Nie przecenimy twierdząc, że bez tego „Lasu pęzlów“, Chiny możeby nie zachowały były swej jednolitości umysłowej, obracającej się tysiące lat w jednym kole. Faktem bowiem jest, że wszystko, co one dziś mają, miały wprawdzie już na tysiąc lat przed Europą — od tego czasu jednak ani na krok naprzód nie postąpiły. Pamiętamy dobrze, że i niektóre europejskie rządy starały się zaprowadzić u siebie taki Hanlin... ale nie powiodło się długo! Widocznie nie tegie pęzle wyrastały w takim lesie...

— Stary to pewnik, że charakter narodowy jednostek nigdy nie zgubi się zupełnie choćby w najniekorzystniejszych dla siebie warunkach. To też i słusznie powiadają majtkowie: że Hiszpani rozpoczynają w nowej kolonji od budowy kościoła, Angliacy od tawerny, a Francuzi od sali balowej. Ciekawą ilustracją tego przysłowia jest przygoda, która się ongi wydarzyła sławnemu francuskiemu pocię i mężowi stanu, Chateaubriand'owi. Gdy był raz w Ameryce, dowiedział się że między Indjanami przebywa jego rodak. Chcąc go obaczyć udał się do plemienia Irokesów, a tam przewodnik zawiódł go do lasu. Po jakim czasie ujrzał na małej polanie stodołę, a w niej kilkadziesiąt dzikich obojej płci, nagich do połowy, omalowanych wstrętnie, z przekłutymi uszama, piórami kruczemi na głowach i pierścieniami przewleczonemi przez nosy. Całe to malownicze towarzystwo okalało małego Francuzika, który w zielonym fraczku, upudrowany i w muślinowych mankietkach, rzepolił nielitościwie na skrzypeach, i kazał tańczyć dzikim Irokesom. Pan Violet był tu nie mniej nie więcej, jak nauczycielem tańców. Za lekcje płacono mu futrami ż bobrów i niedźwiedzi. Podczas wojny amerykańskiej był on kuchcikiem w służbie generała Rochambeau, a gdy armja francuska powracała do Europy, zdecydował się pozostać w Ameryce. Ucząc dzikich Irokesów tańczyć po europejsku, handlował futrami nabytymi od nich, na czem miał zyski nieposlednie. Gdy mówił o Indjanach, wyrażał się zawsze z respektem: „Ces messieurs Sauvages,“ albo „Ces dames Sauvages.“ Na pytanie Chateaubriand'a, czy też uczniowie jego korzystają cokolwiek z lekcyj, pan Violet chwalił niezmiernie ich pojętaość i zamiłowanie dla sztuki Terpsychory.

Treść Nr. 21.

O potrzebie konkursu dramatycznego we Lwowie; Chrzest Polski powieść J. Dzierzkowskiego i Wł. Sabowskiego (c. d.); Mieczysław Romanowski studjum A. Kuliczowskiego (c. d.) Messjanizm i Towiańszczyzna przez Cz. Pieniążka (c. d.); Przygody w Indjach podróżnika Tomasza Anquetila (c. d.) Zemsta górala wiersz Janiny; Tajemnicza wyspa przez Juliusza Verne (c. d.); Tak być musiało powieść Józefa Rogosza (c. d.); Długosz o Elżbiecie trzeciej żonie Jagiełły napisał A. Prochaska (c. d.); Pogadanka Jana Lama, Piśmiennictwo polskie: „Głos, ucho i muzyka“ tłum. Felicji Bakszewicz (dok.); Bibliografja. — Wiadomości ze świata. — Rozmaitości.